



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

SZKOŁA KORONKARSTWA

w Warszawie.

Zmichowska, pisząc w *Bluszczu* (1867 r.) o paniach i sługach naszych, napisała, że niewątpliwie większość pań ma serca dobre, tylko dobroci owej zapomina w stosunku tym używać, tak, jak naprzykład zapomina nakręcać zegarki: serca i zegarki w ruch niewprawione, nie działają. Coś podobnego działa się dotąd u nas z pracą kobiecą. Nikt pracującej i pracować pragnącej kobiecie z pomocą dobroczynną nie przyszedł, nie wspomógł szkołą pracy filantropijnie założoną, taką, jakie spotykamy we wszystkich innych społeczeństwach, jako szkoły miejskie, szkoły Elizy Lemonier w Paryżu, Stowarzyszenia Anny Schepeler-Lette (Lette-Verein) w Berlinie i tak dalej. A przecież nie można kobiet naszych o brak litosnej tklivosti, o brak uczucia posądzać. Niewątpliwie wiele z nich rozżaliło się nieraz szczerze i głęboko nad spotykaniami, lub z opisu poznanymi, cierpieniami, brakami istot ubogich; tylko jakoś wskazówki zegara serdecznego nie zostały w tym kierunku zwrócone: kobieta nie zapragnęła być dobrą, siostrzano-miłosierną. W Krakowie wyborna szkoła szlachetnego promotora wyższego kobiety wykształcenia, zacnego Adryana Baranieckiego, dała kobiecie możność uzdalniania się do pracy zawodowej w kierunku artystycznym. Stowarzyszenie pracy kobiecej we Lwowie, wspomaganym czynnym zajęciem się i ofiarą pieniędzmi pań znacznych, choć nie wydało pożądanego skutku, zaświadczyło jednak o jakichkolwiek usiłowaniu w tym kierunku, tak, jak świadczy o tem to, co ofiarnie czyni Poznańskie i Toruńskie Sto-

warzyszenie pomocy dla dziewcząt ubogich. Przytem w Galicyi szlachetnego serca kobiety zapragnęły stworzyć przemysł koronkarstwa, któryby, jako *przemysł domowy*, najpożądany w zarobkowej pracy kobiecej, podniósł pracować chcącą nad nędzę bez wydziałania się z rodziny, odbiegania od ogniska domowego. Szkoła koronkarstwa p. Honoraty Łukasiewiczowej w Chorkówce oraz hrabiny Włodzimierzowej Dzieduszyckiej, — zostały zapisane wdzięcznie w pamięci narodowej, jako czyny filantropijne obywatelskiej zasługi i działalności takiej, że pani Łukasiewiczowa otrzymała w darze od cesarza austriackiego order, a okazy wyrobionych w Chorkówce koronek, zakupiono przez rząd do Muzeum Przemysłowego w Wiedniu. Lwowskie Muzeum Przemysłowe pomieściło również okazy koronek wyrobionych w szkole hr. Dzieduszyckiej, gdzie zarazem dla ułatwienia zbytu przyjmowane są zamówienia, a zajęcie się to najpoważniejszej w prowincyi instytucji przemysłowej dowodzi, jak ten przemysł kobiecy ważnym być może w ogólnym rozwoju pracy, jak rozszerzenie go i utrzymanie uważanem jest za bodziec do podniesienia dobrobytu w kraju. Ponieważ u nas tylko jedno i jedyne Muzeum Przemysłowe zajęło się szlachetnie poparciem pracy kobiecej, tak przez urządzenie jej wystawy, jak następnie przez udzielanie kobiecie niezamówionej bezpłatnej nauki rysunku, powoływaliśmy się przynajmniej na to, że pani Honorata Łukasiewiczowa jest Warszawianką, że zatem znalazło się między kobietami naszymi serce tklliwe usposobione dla tych ciężkich wysiłków sióstr swoich — kobiet ubogich, które po wielkim przewrocie, jaki kraj przeszedł, secinami — nie..... tysiącami, pracy napróżno szukają. Ale Bogu dzięki, dziś już i my posiadamy tę rzecz dobrą, której nam boleśnie brakło: filantropijną szkołę w jednej gałęzi pracy kobiecej, szkołę koronkarstwa p. Heleny z Orgelbrandów [Gabrielowej, gdzie, nietylko nauka naj-

zupełniej bezpłatnie się udziela, ale i narzędzia do tej pracy, kosztowne dla niezamożnych uczennic są im dostarczane.

Szkoła, pomieszczona we własnym mieszkaniu swej zacnej naczelniczki, posiada już obecnie przeszło czterdzieści uczennic i dzieli się na dwa oddziały. Niższy składa się przeważnie z małych dziewczynek, między którymi jest 15 dziewcząt z Ochronki hr. Kossakowskiej, i tym udziela się nauka koronek najłatwiejszego wyrobu, które zowią się we Francyi: „dentelle à fuseaux“, w Niemczech „koronką klockową“. Wyrabia się taka koronka za pomocą pewnego rodzaju toczonych pałeczek drewnianych i w dział ten wchodzi dwa gatunki koronki: jedna, zwana powszechnie Walansieną, druga nosząca we Francyi nazwę: „dentelle torchon“, w Niemczech „koronki gospodarskiej“. Dwie dziewczynki z Ochrony, które na Wystawie otwartej obecnie w Muzeum Przemysłowym przy witrynie Szkoły p. Gabrielowej pracują, wyrabiają koronki „gospodarskie, koronki z nici dość grubej; ale szkoła jest dopiero kilka miesięcy otwartą i dzieci te, nigdy do robót tego rodzaju niewłożone, potrzebują nabyć wprawy. Okazują się jednak bardzo chętnymi, roztrpniemi i postępy ich są zadawalające, przecież za witryną szkoły znajdują się okazy tego gatunku owiele cieńsze, i już do wyborowych zaliczyć się mogące. Oglądałam też podobne w szkole, gdzie również zaczyna być udzielaną nauka walansieny, i widziałam zaczęta blisko na czterysta pałeczek, co jest już szerokością znaczną i dowodzi wyższej wprawy w robocie, w wybieraniu pałeczekami. Te dwa gatunki, najpowszechniejszego i obecnie bardzo znacznego przy bieliznie użycia, najprędzy zbytu znajdują i nie służąc do stroju zbytkowego, nie potrzebują się lękać konkurencji zagranicznej. Pokup na nie będzie niewątpliwą.

Ciekawym byłby wykaz: ile takich koronek nicianych rocznie do kraju wchodzi, ile zatem pieniędzy pozostać nam może za towar tego

rodzaju, że dostarczyć go mogą dzieci i kobiety, w wolnych od gospodarstwa chwilach pracujące? Dostarczają go przecież gdzieindziej, netylko na potrzeby kraju, ale na wywóz nawet, i kto tylko poza kraj w Czechy, w Austryę wjedzie, widzi tam robotnice przed domami, po sieniach, po ogrodach pracujące: przerzucają pałeczki z szybkością niezmierną i nie, wijąc się koło spilek, wzór wytykających, tka koronkę. Dziecko takie, jak dziewczynki na wystawie pracujące, może zrobić, bez mozolnego wysiłku, tylko przy pracy skrzętnej, około dwóch zł: dziennie.

W oddziale wyższym szkoły, gdzie są już uczennice starsze, do igły i delikatnego jej użycia przyzwyczajone, szkoła udziela nauki koronek wytworniejszych, bardzo nawet wytwornych, jak „Point à aiguille“ „Duchesse“ a nawet „Point de Venise“. Oglądałam, z pokornem nad tą cierpliwą pracowitością uwielbieniem, koronkę, wedle starożytnego wzoru koronki weneckiej robioną przez p. Julię S. Jeden kwiateczek tej koronki znajduje się na wystawie pod witryną Szkoły; lecz trzeba być tu trochę znawcą, trzeba przytem mieć wzrok dobry, aby ocenić: ile pracy na taki jeden czterolistny kwiatek idzie? To też łaskawie pozwolona Szkoła na wzór taka koronka, długości około łokci ośmiu, ma wartość 700 rs.

Dla oceny pięknej koronki „à aiguille“ lub „Duchesse“ trzeba też trochę znawstwa, wiadomości, że tam wszystko jest dziełem pracy ręcznej; to, co ktoś może brać za tytuł jak pajęczyna cienki, nie jest bynajmniej tytułem, ale wyrobem koronkowym, igłą dokonany.

To też odróżnia koronki prawdziwe od naśladowanej je roboty zwanej „point lace“. Jest to robota dziś modna, dokonywana z dodatkiem tiulu i tasiemeczek; wydaje ona rzeczy bardzo piękne na rzut oka, jak to świadczą okazy pani Poświkowej, umieszczone tuż obok witryny Szkoły; ale wartość ich jest inna, inna zupełnie, bo chwilową wziętością mody ograniczona: gdy koronka prawdziwa, ma cenność trwałą, nie mniejszą od klejnotów i jak w klejnotach nie przechodnią. Kosztowność tego wyrobu ręki ludzkiej, jego moc, uszanowanie wreszcie, jakie mimowolnie budzi trud bardzo mozolnej pracy, zapewnia je koronkom. Niegdyś, biorąc w rachunek tylko tę pracę znojną, której są owocem, pragnęłabym je była wykląć i nazawsze z dziedziny zajęć ludzkich usunąć; dziś, gdy poznalam roje pracownic, którym trzeba chleba dla ust własnych i ukochanych im istot, którym potrzeba za cenę jakiegobądź trudu ocalić godność swą ludzką—dzisiaj błogosławię koronkom i czczę te szlachetne, litością siostrzaną nad kobietą ubogą przejęte, które umiejętność wyrobu, zapragnęły kraj obdarzyć.

Jak szła p. Gabrielowej może szczęśliwie i w prędkim czasie dokonała tego u nas, dość jest wspomnieć, że p. Poświkowa, która sama ma szkołę robót kobiecych (Nowolipki Nr 3), jest obecnie uczennicą w szkole p. Gabrielowej. Uczyla się tam również pewnych gatunków koronki panna Suchowiecka, udzielająca podobnej nauki w zakładzie przemysłowo-rzemieślniczym matki swojej (ulica Bracka Nr. 17); można zatem bez szczególnego optymizmu wróżyć, że znajomość wyrobu koronek rozpowszechni się u nas szczęśliwie i stanie się jedną z korzystnych a dobrych, bo poza dom niewydalejących, gałęzi pracy kobiecej.

Nauka w szkole p. Gabrielowej trwa dwie godziny dziennie.

Ale któż tam uczy w tej szkole? Kto uczy tej pracy uchodzącej słusznie za ciężko mozolną dla tej nawet, którą konieczność zmusza do pracy zarobkowej, pracy na chleb? Być tą nauczycielką, to znaczy wszystkie tajemnice koronkarstwa w jego rozmaitych gałęziach poznać, wprawy pewnej, koniecznej z praktyką złączonej, nabyć—czyli poświęcić się na pracę bardzo trudną, bardzo mozolną, wielkiego zasobu cierpliwości wymagającą; i gdy się dowiemy, że tą nauczycielką jest sama p. Gabrielowa, gdy dodamy, że kilka lat z kolei, wyjeżdżając za granicę do Belgii i Czech, uczyła się ona więcej niż każda robotnica z zawodu, bo niejednego gatunku tego kunsztu Arachny: nie znaczyć nie będzie w porównaniu

jej pieniężna, kilkaset rubli wynosząca, ofiara dla szkoły na przybory, wzory i desenie. Musimy też uczcić w tej pani czyn szlachetnej filantropii i zarazem zasługę obywatelską, mającą prawo do wdzięcznego uznania ogółu.

Marya Ilnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Na jednej staludze widać było obraz stary, który zapewne czekał oczyszczenia i restauracji, na drugiej coś rozpoczętego; u okna na stoliku porcelanowe naczynia i talerze dowodziły, że i ten rodzaj malarstwa nie był obcym pannie Ludmile.

Ściany zajmowały pozawieszane niedbale płótna, szkice i studia.

Gospodyni żywo zrzuciła z jednego krzesła chustkę i kapelusz, i wskazała je Buczyńskiemu, który nie zdawał się mieć ochoty do zajęcia miejsca. Ona sama złożyła paletę, dobyła krzesło drugie zza obrazu, który o nie był sparty, i usiadła zrezygnowana.

Buczyński się jej przypatrywał. Piękną była zawsze, ale zaniedbanie, frasunek, tęskność—zniszczyły już znacznie mężnie z niemi walczącą biedną istotę. Wyraz twarzy był przejmujący smutkiem głębokim, już ostygłym i jakby zdrętwiałym.

Pedagog myślał—myślał i nie wiedział od czego ma poczynać; litość powoli wkradła mu się do zastygłego serca. Ludmiła patrzyła nań i na porzuconą robotę.

— Że też hrabianka dobrowolnie się skazała na taką samotność i życie w tym Paryżu! — przebieknął wreszcie.

— Nie dobrowolnie — przerwała Ludmiła — konieczność mnie popchnęła. Na łasce żyć nie mogłam—próbowałam—próbuję. Chciałam poświęcić się sztuce: sztuka mnie odtrąciła od siebie!

— Tak! sztuce—powtórzył Buczyński. Wistocie, w tym Paryżu, wiele—wiele....

— Dzisiaj już o sztuce, o jakiej marzyłam, mowy niema—dodała smutnie Ludmiła—aby ona mogła starczyć na zapełnienie żywota, potrzeba być wielkim artystą lub szczęśliwym. Dzisiaj rozwiły się te marzenia moje; muszę myśleć, aby, jeśli nie sztuką wyżyć, to sztuczką.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Ale czyż może być, abys pani tego potrzebowała?—spytał gość.

— Musiało to być—odparła Ludmiła.—Na jakiś czas miałam, zdawało mi się, że miałam, zapewne środki. Śmierć mojego poczciwego przyjaciela.... Ale po co ja panu mam to opowiadać!—przerwała wesoło. — Wierz mi pan, choć się tu może wydaje bardzo biednie u mnie, ja znów tak nieszczęśliwą nie jestem.

Buczyński patrzył i słuchał.

— Prawda — rzekł — że tu w tym Paryżu, ja chyba nic nie rozumiem, ale już ci pani nawet w officynie u nas było wygodniej.

— Nie—odparła Ludmiła, oglądając się po izbie — nie — wierz mi pan. Ja tu jestem panią i u siebie.

— Ale tak sama jedna—odezwał się nieśmiało pedagog.—To doprawdy do admiracji.

Mówiliśmy już, jak był zastygłym i zamkniętym męczennik, nad którym znęcał się Julek.

Widok Ludmiły i tego, co ją otaczało, coraz jednak silniej działał na niego. Sam on niepokoił się wrażeniem, jakiego doznawał.

Ludmiła patrzyła nań z uwagą.

— Powiedz mi pan otwarcie — odezwała się. — Jestem pewną, że mój kuzynek przysłał tu go na zwiady. Cóż on chce wiedzieć o mnie? Żem biedna? tego się mógł domyślić; żem sama? to pan już widzisz. Cóż więcej?

Buczyński otarł się chustką.

— Ale, proszę hrabianki—rzekł.

— Nie nazywaj mnie pan tym tytułem, którego ja nie używam.

— To prawda — począł, poprawiając się gość, że Julek mnie nakłonił do tego, ażeby tu przyszedł. Sam-bym nie śmiał. Trzpiot jest i nie dobrego, ale ma serce dobre. Przysłał mnie, tak, bo los pani go obchodzi.

— Cóż mu do mojego losu? — westchnęła Ludmiła.—Mam to, co mi było przeznaczonem. Wprawdzie nadziejami sięgałam wyżej, lecz z nieubłaganą rzeczywistością trzeba się umieć pogodzić.

Kochałam i Kocham sztukę; teraz — teraz — walczę o życie, nie o wyższe cele. Nie wyrzekłam się ich, ale spełnienie zawiesić musiała.

— Obrazy się, nie sprzedają?—zapytał Buczyński.

Artystka rozśmiała się.

— Owszem — rzekła — sprzedają się i bardzo drogo, ale tylko te, które mają imię, których ojcowie dobili się sławy. Najpiękniejsza rzecz przechodzi bez tego niepostrzeżona.

— Więc cóż?—wtrącił Buczyński — należałoby więc coś innego wymyślić?

— Naiwność, z jaką to wyrzekł, znowu uśmiech wywołała.

— Tak się też stało—odparła wesoło Ludmiła. Widzisz pan, naprawiam stare płótna dla brokanterów, maluję na porcelanie, zrobiłam parę parawanów, kto wie? może przyjdzie kolorować? O sztuce już w tych zajęciach myśleć nie można, ale o czasie, jaki one zabierają i pieniądzech, które przynoszą.

Gość słuchał zdumiony; Ludmiła spoglądała nań, jakby już spowiedź skończyła, i oczekiwała, by ją pożegnał. Buczyńskiemu robiło się koło serca coraz jakoś mięcej, a około oczu wilgotno.

Załamano dłonie.

— Jak Boga Kocham—zawołał z prostotą—tak mi pani żal, że ja tego wyrazić nie umiem.

Było w tym wykrzykniku tyle uczucia, iż Ludmiła, która go bardzo niechętnie przyjęła, poruszyło się też serce wdzięcznością dla niego.

— Panie mój—odezwała się—ja jeszcze stosunkowo najbiedniejszą nie jestem. Są takie, które i tego, co ja, nie umieją — i sił mniej mają i zdrowie gorsze od mojego.

Wystaw pan sobie, chorobę, szpital i....

Zamilkła nagle wdrygając się:

— Ale nie jest-że przeznaczeniem człowieka: walczyć i.... umierać? To życie.

Buczyński głowę spuścił smutnie i powtórzył machinalnie.

— To życie.

W głowie mu się nie mogło pomieścić, aby „to życie“ miało być udziałem hrabianki, i aby los z koronkowych pieluszek śmiał tak nielitościwie na bruk plugawy wyrzucać.

Widząc go zadumanym, Ścioborzanka dodała prędko:

— Proszę pana, jeżeli go mój kuzynek rozpytywać będzie, uczyni to dla mnie — nie maluj mu w zbyt czarnych barwach losu mojego. Pomocy od nich nie przyjmę w żadnym razie. Powoli, z tem co jest, oswoiłam się. Jest mi dobrze. Tak—jest mi zupełnie dobrze. Mam nawet nadzieję, gdy się nauczę trochę lepiej tego malowania na porcelanie, otrzymać stałe zajęcie, kilka franków dziennie, a z kilku frankami żyje się w Paryżu i z głodu nie umiera. Mamże prawo wymagać więcej?

Wierzę w dobre serce mojego kuzynka—ale na dobrych sercach, jam nic budować nie nawykła. Potrzeba umieć sobie wystarczyć.

— Tak—dodała z energią—kto nie może zapracować na życie, ten—nie ma prawa do życia.

Buczyński spojrzął niemal zawstydzony, nie znalazł na to odpowiedzi. Ludmiła wstała ze swego krzesła, począła poplątane poprawiać włosy, odeszła trochę ku oknu: dawała mu do zrozumienia, że powinien był odejść.

Pedagog siedział, nie dobrze wiedząc: co dalej począć. Odejść z niczem? a tu na ustach pyta-

nia mu schły, czuł się niezręcznym, niepowołanym do tego, co nań włożono.

Artystka wzięła paletę w rękę; był to zaak-dotniejszy jeszcze. Zbliżyła się starego obrazu i powoli zaczęła go wycierać ściereczką, jakgdyby mocno nim już była zajęta.

Pedagog musiał nareszcie wstać.

— Powiedz pan, proszę, kuzynkowi, aby się nie troszczyli o mnie; w jakikolwiek sposób dam sobie radę; ol chleb nie jest drogi, a ściśle wzięwszy....

Buczyński stał z kapeluszem w rękę.

— Żegnam pana—dodała, kłaniając mu się, Ludmilla i poruszając się, jakby go do drzwi odpro-wadzić chciała. — Żegnam pana.

Musiał tedy wyjść, a za drzwiami, które się za-raz za nim zatrzasnęły, otarł pot z czoła. Na ser-cu było mu ciężko.

Wolnym krokiem powlókł się z powrotem do kawiarni, w której zwykle, przy gazecie, oczeki-wał na przybycie p. Juliana.

Tego dnia uczeń niespodzianie wrócił przed go-dziną zwyczajną, spocony, poruszony i ożywiony wielce. Zobaczywszy Buczyńskiego, rzucił się ku niemu.

— Byłeś?

— A no—byłem?

— Jakżeś znalazł?

— Piąte piętro, ubogo, extra-ubogo, co pan chcesz! Widziałem, że w rozkoszach nie opływa, ale się nie skarży.

— A więcej co?—przysiadając się do niego, py-tał Julek.

Ręce szeroko rozpostarte nauczyciela miały oznaczać, że więcej do powiedzenia nic nie miał.

Julek wstał.

— Buczyński!—zawołał—słowo honoru—ty je-steś do niczego. Dziury w kominie tobą zatkać-by nie można! Do niczego?

Ani słowa nie rzekł na niewinnienie się peda-gog. Wyrzuty te były mu codziennym pokarmem; trawił je łatwo.

— Jak ci nie wstyd!—ciągnął dalej Julek. Ty tam byłeś, na miejscu, u źródła, i nic nie wiesz, a ja nie chodzę i wiem wszystko.

— Co?—zapytał Buczyński—co? tyle co i ja?

— Nieprawda—zawołał tryumfująco uczeń. Po-szedłem między artystów, do kawiarni, w której się *rapin'y* zbierają, i dostałem języka.

— To może mnie pan co powiesz, kiedym ja pa-nu nic nie umiał przynieść?—spytał szydersko Bu-czyński.

— A cóż myślisz? — stając naprzeciw, niego—rzekł Julek poważniej, niż był zwykły.

— Słucham!

— Smutna historia! Słowo ci daję: gdyby nie była nawet moja kuzynka, interessowałbym się nią, bo to osobliwa dziewczyna! Wszyscy się jej dziwią, chociaż nie wiedzą, ani jakiego jest rodu, ani w jakim bycie młodość przeżyła.

Ja niby to jestem mężczyzna — mówił Julek z zapalem — ale gdyby mnie jej los spotkał, słu-chaj Buczyński, albo-bym nedorzecznosc zrobił, albo-bym się zastrzelił!

— A to—to prawda! — wyrwało się pedagogowi — tylko, ja powiem p. Julianowi, że prędzej pierwsze niż drugie.

Za karę Julek go chwycił za ucho. Buczyński zaskomlał.

— Słuchaj-że—mówił dalej uczeń:—Rapiny ja znają; jeden z nich Juanes, powiada, że się w niej kochał szalenie, że nadaremnie się zbliżyć usiło-wał i z powodu tego ustawicznie ją śledził. Nie może się wyadmrować jej męstwa, wytrwałości, energii i charakteru.

Juanes mi powiedział, iż ciężko jej idzie, a po-kłonić się nikomu nie chce. Z jej pięknoscią ła-twoby przyszło lada uśmiechem zjednać sobie lu-dzi, ale nikomu się do siebie zbliżyć nawet nie da-je. Dumna jest i niedostępna. Z malowania, jak on powiada, gdy się niema imienia, żyć w Paryżu trudno, nadto dużo ludzi maluje, a kupuje zbyt mało; ale ona, słyszę, i parawany robi, i obrazki koloruje, i na porcelanie....

— Sam to widziałem—potwierdził Buczyński.

— Juanes powiada, że źle jest z nią, i że ledwie wyżyc może, ale ani się skarży, nikogo o pomoc nie prosi.

Z tego opowiadania urywanego Buczyński, któ-

ry go słuchał, nie dowiedział się więcej nad to, co widział własnymi oczyma i mógł odgadnąć. Rzekł więc do p. Juliana:

— Wszystko to prawda, tyle pan wiedziałeś, ile ja, z dodatkiem tylko, że się jakiś Juanes w niej kochał.

I spojrzął na Julka, wielce ożywionego, w zamy-słach chodzącego po pokoju.

Niech się mama gniewa, kiedy chce—zawołał, pomilczawszy młody hrabia, ale ja w liście do oj-ca wszystko to opiszę. Niepodobna, abysmy my dopuścili....

— Cóż dopuścili?—zapytał Buczyński—ani do-puszczać, ani jej przeszkadzać nie możecie, bo się wyemancypowała.

Julek zamilkł, potarł czoło i siadł, odwracając się pogardliwie od nauczyciela i niechcąc mu już myśli swoich udzielać.

Urywek z dziennika: — „Sądziłam, że się do zu-pelnej samotności przyzwyczaić potrafię, że myśli własne, wspomnienia, praca, zajęcie się sztuką wy-starczą na zapełnienie życia. A jednak nieopisa-na tęsknota jakaś ciąży mi, dusi mnie, cmentarna ta cisza dolega. Czuję ten żywy, ruchawy świat, około mnie przepływający jak fala; budzi on we mnie niepokój jakiś; czuję, że jest rodzajem egoiz-mu, tak jak ja zamknąć się w sobie, żyć w sobie, wzgardzić społeczeństwem.

Lecz gdybym chciała nawet, jak i do kogo się zbliżyć? Kobiet lękam się więcej jeszcze prawie, niż mężczyzn. Te, do którychbym się zbliżyć mog-ła i któreby biedną artystką nie pogardziły, nie przypadają do mojego usposobienia, nawyknienia, wychowania; do innych przystęp trudny lub nie-podobny.

Kocham zawsze tę niewdzięczną sztukę, która dzieci swych wyżywić nie może,—lecz nasz świat z jak różnych elementów jest złożony! Talent nie-konieczny idzie w parze z wartością człowieka. Młode to pokolenie kształcające się na artystów, czuje się w opozycji z życiem powszednim i ludź-mi powszednimi, gardzi więc wszystkim, co po-ziomy świat szanuje i co dlań prawo stanowi. W polocie za ideałem, za niemożliwym, chce i w rzeczywistości nadzwyczajnych rzeczy.... i z te-go, co my szanujemy, śmieje się.

Czyżby istotnie uprawa sztuki miała tak ko-niecznie rozpasywać człowieka i natchnienie mia-ło iść w parze z wyłamaniem się ze wszystkich względów moralności i form obyczajowych? Nie wiem—ale młodzi artyści, o których mimowolnie ocierać się musiałam, zdaje mi się, że nadto ideału szukają w gorączkowym i namiętnym podbudze-niu. Smutno jest tak z konieczności pozostać samą, tak bez związku z życiem.

Moja gospodyni, która czasem przez cieka-wość odwiedza mnie i siaduje, o niczem mówić nie umie, prócz okłopotach swych z lokatorami i plot-kach o stosunkach miłosnych drugiego piętra z trzeciem lub tym podobnie. Nie może mnie zro-zumieć, iż będąc młodą, nie szukam towarzystwa, że się rozerwać nie chcę.

Zdaje się, że Juanes ten, któremu podobało się mnie nudzić swoim uwielbieniem, musiał już tra-fić do niej i powierzyć jej swą sprawę.

A! jak mi tu brak poczciwego Sitki!

Życie coraz staje się trudniejszym, środki się wyczerpały. Długów nie mam jeszcze, bo się ich boję i unikam — ale oszczędzać się muszę bardzo, aby mi to, co zarabiam, wystarczyło.

Père Duval, który kupił kilka moich obrazków za bardzo lichą cenę, powierza mi stare obrazy do odnawiania. Zajęcie to niemiłe, ale się stosun-kowo lepiej opłaca, niż moja najserdeczniejsza pra-ca, w którą ja wkładam duszę. Musiałam jednak kupić sobie, *Guida*, aby mieć wyobrażenie o nie-kórych technicznych procederach restauracyi, a wiele odgaduje. Père Duval dziwnych czasem rzeczy wymaga, aby jego obrazom nadały niby jakieś prawdopodobieństwo pochodzenia od mi-strzów.

Wogóle jednak dosyć jest kontent ze mnie—ja zaś muszę być z niego.

Na porcelanie nauczę się także wkrótce tak malować, aby moja robota do wszystkich innych była podobną i nie miała żadnego indywidualnego

znamienia. O to chodzi. Muszę się nałamać do tego wylizania, wychuchania, elegancyi, jakich wymaga porcelana. Będę malować jak machin-ka. Wprawdzie i tu kandydatów jest dużo, kon-kurencya wielka, odznaczyć się trudno. Swojego nie ułożyć nie można; ale *sacrificio del intelletto* — opłaci się łatwiejszym zarobkiem.

Ażeby być zupełnie swobodną, nie być zmu-szoną starych sukien przerabiać, mieć trochę po-żywniejsze śniadanie, zdrowszy obiad, nie tak nę-dzne mieszkanie, musiałabym dziennie około dzie-sięciu franków zarabiać. Nie jest to niemożliwym, ale prędko osiągnętem być nie może.

W fabryce dyrektor części malowniczej dał mi do zrozumienia, iż z łatwością mogłabym otrzy-mać posadę stałą, gdybym dla niego grzeczną być chciała. Tym kosztem jednak opłacać spokój—niestety!

Dla ubogiej kobiety młodość, trochę piękności, są to dary nieszczęsne, które jej każdy krok utru-dniają. Chciałabym być prędko starszą i choć nie szpetną, to przynajmniej nie ponętą dla ni-kogo.

Piękność najczęściej, nie serca chwytą, ale zmy-sły—serca zyskują się inaczej.—Moje nie drgnęło tu do nikogo, może dlatego, iż czuło, że mu żadne szlachetniejszym nie odpowie drgnieniem. Całe ono pogrzebione w przeszłości, w mogile ojca, we wspomnieniach lat szczęśliwych, w Brzegach spe-dzonych. Co się tam dzieje? Nie mogę myśleć o profanacyi, jakiej wszystko co mi najdroższem było uległo. Lecz, gdy kościoły Boże i świątynie czas obraca w gruzy i gorsze jeszcze kałuże, któz ma prawo użalać się, że jego świątynię pokalano?

Czasem w tej ciszy i pustce mej, wieczorem przebiegam znowu życie całe, pytając siebie: Czy dumą nie zgrzeszyłam, opuszczając dom, który mi dawał przytułek? Położenie moje było niezno-snym. Cecylią odkradałam hr. Zygmunтови; dla Alfonsyny byłam grozą ciągłych ofiar; zniemawid-zona, czując to, w tej atmosferze dusznej wyżyć nie mogłam.

Żal mi tej szlachetnej, pięknej duszy Zygmunta, która tak bratersko ku mnie się zbliżała, w której czułam tyle życzliwości. Lecz, Zygmunt, jak in-ni, może miał tylko chwilę taką w życiu, rzeczy-wistość go popsuje i uczyni powszednim człowie-kiem. Ożeni się z Cesią i będą szczęśliwi.

W Dreźnie nie mogłam pozwolić na to, by mnie upokarzał swemi dobrodziejstwami. Musiałam uchodzić. Mógł się więcej zająć mną, ja nim i—rodzina-by mi tego nie przebaczyła.

A—jednak—tak mi ciężko było dopełnić tego obowiązku, ujęć gdy tak słodko było pozostać! Ten jeden człowiek tak odpowiadał ideałowi w duszy wypiatostowanemu, z nim tak-bym mogła być szczęśliwą! Z tych krótkich rozmów, z tych słów wymienionych z obawą, tak coś sympatycz-nego dla mnie tchnęło, takeśmy się dobrze rozumieli! Cieszę się tem, że on—znajdzie łatwo in-ną, a ja? szukać nie będę nic już więcej, bo moje życie musi spływać samotne, bez rodziny—czy ja-ko expiacya za winy, czy jako ofiara, której zna-czenie dla nas jest zakryte. W tych kołach gdzie-bym się czuła swoją, nie obcą, znaleźć się nie mogę, niżej zstąpić nie potrafię; zawieszona mię-dzy niemi, czekać muszę wyzwolenia—całe życie zamknąć w sobie.

— — Malowanie na porcelanie idzie mi dobrze, pozbyłam się fantazyi, jestem posłuszna wzorom, nie mam już własnej maniery. Raczli mi pochwalić. Powierzono mi wielki wazon, na któ-rym mają być dwa bukiety kwiatów.

Kwiatów? Sąż to kwiaty? Tak, kwiaty por-celanowego świata.

Nad tą robotą machinalną biedna myśl, coby gdzieś ulecieć chciała, przykuta, ciągle na straży, męcząc się niewolą swą. Jakże mi tęskno za płó-tnem, na które-bym mogła rzucić jakieś niebo, drze-wa, chatę, jakiś kawałek świata naszego! Zaka-zane! zabronione!

Père Duval dał mi portret, jakiegoś francuzkie-go markiza, który był bardzo pięknym, ale go w czasie rewolucyi niegodziwie pokrajano, całe wyszarpane dziury potrzeba komponować, dora-biać. To mnie już więcej zajmuje.

Co za nieznośna rzecz być ściganą przez prze-szołość! Kuzynek mój tu w Paryżu. Ledwiem się

go w ulicy pozbyć mogła. Do wszystkich utra-
pień moich tego brakło, aby mnie tu przesła-
dował czułością swą.

Dałam mu, jak mogłam, najsurowszą odprawę
i wąpnię, żeby się mógł dowiedzieć o mojem
mieszkanu. Nie sądzę też, ażeby długo posie-
dział w Paryżu.

Przysłał mi swojego Buczyńskiego, tego mil-
czącego mentora, który, niewiem, jak swego ży-
wego i roztrzęsionego Telemaka na wodzy utrzy-
mać może.

Ale czegoż oni mogą chcieć odemnie? po co
mnie śledzą? na co się dowiadują?

Nawet w Paryżu od ich miłosierdzia oswo-
bioną być nie mogę!

Portret dany mi przez Duvala zrestaurowałam
szczęśliwie, tak szczęśliwie, że, nietylko on mi go
winszował, ale dostąpiłam wielkiego szczęścia.
To warte, aby stało zapisane w moim dzienniku.
Okazuje się, że stare płótno podarte nie było wła-
nością brokantera, ale mu je powierzyła rodzina,
dla której ono stanowiło drogą pamiątkę. W kil-
ka dni po oddaniu go Duval oświadczył mi, choć
kwaśno się przyznając do tego, iż familia, dla któ-
rej stary portret tak szczęśliwie wyrestaurowa-
łam, życzyła sobie, bym się podjęła kilka jeszcze
dawnych płócien zniszczonych równie starannie
odżywić.

Dał mi adres margrabiny de la Rivandière, na
przedmieściu St. Germain, do której udać się mia-
łam, bo ona sama chciała o tem pomówić ze mną.

Zarazem dał mi do zrozumienia i to, że mogłam
się domagać wyższej ceny nad tę, jaką wzięłam
od niego, i że mu winną była pewien procent,
jak u nas zowią, poręczawicze, za polecenie mnie
tej pani.

Z ciekawością nazajutrz udałam się do starego
domu panów de la Rivandière. Ubrałam się w naj-
świeższą czarną suknię, najświeższe okrycie i je-
dyny kapelus.

Część ta miasta wcale jest do innych niepod-
obna. Uderza tu, że większa część domów nie jest
zajęta sklepami i stoi *entre cour et jardin*. Musia-
łam dzwonić do bramy i tłómaczyć się odzwierne-
mu: z czem przychodzi. Przyjęto mnie z pewnym
niedowierzaniem i ociąganiem się.

Wszystko, począwszy od sług, stare i poważne.
Pałac bardzo piękny, obszerny, lecz jakby z prze-
szłego wieku wszystko w nim nienaruszone zosta-
ło. Obicia, sprzęty, spłowiałe, stare, lecz w do-
skonałej harmonii z sobą. Od stu lat nie się tu
nie ruszyło, nie wpuszczono ani ducha wieku, ni
dzień jego. Coś żalobnego wiało z tych komnat
mrocznych, smutnych, lecz obudzających poszano-
wanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O BOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 16).

U Rzymian jeden wyraz oznaczał męstwo
i cnotę, dzielność odważną, siłę skierowaną ku
czynom szlachetnym — waleczność. Walecznym
był, kto mocno stał przy obowiązku, w boju na
stanowisku wytrwał, lub wspaniale śmiercią gar-
dząc naprzód się rzucił, aby sprawie, której bronił,
zapewnić zwycięstwo, kto dla braci ludzi się
poświęcał, ocalał ich, podnosił z upadku. I nie
było błędu w tak wyrażonem pojęciu, bo jest we-
wnętrzna waleczność sumienia, uczciwości, ofiary,
zaparcia się swego ja na korzyść drugich; jest wa-
leczność w śmiałym dążeniu do prawdy i spra-
wiedliwości wobec zniewag świata. Wielkodu-
szność, a raczej wielkość serdeczności „a great
heartedness“ jest cechą główną; energia i wy-
trwałość duszą waleczności. Bohaterstwo na
polu bitwy to jeszcze nie najwyższosc waleczno-
ści. Błyski bagnatów, nuk dział podbudza męża
do czynów śmiałych i waży wtedy życia swoje dla

dobra ojczyzny; chwala też im: ale i kobiety, dla
których polem cnoty zdaje się być to głównie,
aby znosiły i przenosiły cierpliwie los życia cięż-
ki, bywają nierzadko równie waleczne. A są
odważne i śmiałe, są niemniej dzielne niż męż-
czyźni. Wśród historyi krwawych wojen najsilniej
wzruszają nas te bohaterki, które, przywdzia-
wszy szaty mężkie, idą za ukochanym na pole
walki, aby być przy nim i czuwać, bronić, za-
słaniać, a gdy już padnie pod ciosem zabójczym,
one jeszcze narażają się same na śmierć, byle
nie odstąpić martwego już tylko ciała. Ale
świat też jest wielkimi szrankami bojowemi, gdzie
pasować się trzeba ustawicznie z głodem, chłodem,
bólem i cierpieniem wszelkiego rodzaju, walczyć
o stanowisko, o możność istnienia wśród działo-
wych kul potrzeb koniecznych i braków okru-
tnych. Być pobitym i zepchniętym, a wracać
uparcie do walki i nie poddać się, nie uleść pod
zniechęceniem, zmęczeniem, rozpaczą: to wa-
leczność niemniejsza i w tym zakresie ileż to wa-
lecznych niewiast stoi obok walecznych mężów?
A ile stoi samotnych, które tak walczą już
nie dla ukochań serca osobistych, ale dla idei, dla
dobra i cnoty, dla obowiązku?

Bohaterstwo ciche, bohaterstwo pokoju nie
podnieca się szumem i blaskiem, nie marzy o wa-
wrzynach i trofeach. Poświęcenie takie jest kluc-
czem do religii Chrystusowej i najszlachetniejszej
istoty w ludzkości, czy-to mężczyźni, czy kobiety,
pełniły dzieła heroicznej waleczności, nie ogląda-
jąc się na nic więcej, jeno na uznanie serc własnych
i uczucie dokonanego obowiązku. Wiele z nich
nie dostaje w nagrodę nawet jednego: — Dzię-
kuje... nawet jednego: — Bóg zapłać... a niemniej
nie zmienia dróg postępowania swego.

Sposobność do czynów poświęcenia, do wyższej
waleczności w cnotcie, jest zawsze i wszędzie bo
zawsze i wszędzie jest cierpienie, które po-
trzebuję ulgi, słabość, która pragnie pomocy, i na-
kaz Ewangelii: — Czyń innym to, co chcesz,
aby czyniono tobie... ma nieskończone zasto-
sowania swoje. Woła to nas i przyzywa ze-
wsząd, gdzie się obrócimy; uciekać przed
spełnieniem czynów tej cnoty, gdy to wkra-
cza już w koło naszego życia, naszych zobowią-
zań moralnych, jest podłością, nikczemnością sła-
bego i samolubnego ducha, jest opuszczeniem obo-
wiązku; ale są dusze wielkie, serca gorąco miło-
sne, które idą naprzeciw poświęceń i podejmują
je własnowolnie. Zaraza była w czasach daw-
nych straszliwą klęską ludzkości. Trwoga
przed nią rozpędzała ludzi; jedni uciekali przed
drugimi i dotknięci zarazą umierali bez ratunku
i ulgi w cierpieniach, samotni, wystawieni na
braki najokrutniejsze. W szesnastym wieku (1576)
zaraza wybuchnęła w Medyolanie. Kardynał
Karol Boromeusz, arcybiskup, uznany potem za
świętego, przebywał w Lodi; przecież za na-
dejsciem przerażającej wieści, natychmiast wy-
brał się do nieszczęśliwego miasta i daremnie
duchowieństwo i bliźcy mu przyjaciele
odradzali czyn, który nie należał do jego
obowiązków koniecznych. Odpowiedział im: „Jest
powinnością pasterza, aby dał życie za trzodeę
swoją: nie godzi mu się zatem nie być tam, gdzie
trzoda jest w niebezpieczeństwie...“

Udał się do Medyolanu i przez cztery miesiące
chodził po szpitalach publicznych i domach pry-
watnych, rozdzielał między lud ubogi pożywienie
i lekarstwa, czuwał przy łożu zarażonych i udzie-
lał im ostatnich sakramentów, a przykład wznio-
słego postępowania tak oddziałał na księży miej-
scowych, że wstępowali w ślady świętego męża.
On mimo to dotrwał ośobiście do końca i powrócił
do spokojniejszych obowiązków biskupich wtedy
dopiero, gdy zaraza ustała zupełnie.

Niemniej nie powiedział sobie, że już odbył
swoje, że pole poświęcenia zamknęło się. Pod
porywem szlachetnego serca stał się założy-
cielem pierwszej niedzielnej szkoły ludowej i to
nie założycielem tylko, ale gorliwym i pracowitym
w niej nauczycielem. „Ludzie nie są dla Niedzieli,
ale Niedziela jest dla ludzi i wszelka praca do-
bra może być tak odrabiana w święto, jak w ka-
żdy dzień powszedni“, rzekł w prawdziwym a nie
faryzeuszowskim pojęciu świętości i obowiązków
religijnych, i zwoławszy w niedzielne popołudnie

dzieci ubogie z ulic Medyolanu do katedry, uczył
ich tam czytać i pisać. Kapelani jego zaczęli mu
pomagać, i stała się z tego szkoła ludowa, w całym
słowa tego znaczeniu: dzieci cisnęły się tu coraz
gromadniej, przynosząc elementarze, tabliczki i
zeszyty, a on, biskup, wielki dygnitarz kościoła,
a przytem mędrzec używany do sprawowania po-
selstw na dworach królów i cesarzy, zasiadał między
nimi i wedle słów Chrystusowych: — Dopuszczcie
do mnie te maluczkie... pomagał paluszkom nie-
zgrabnym kreślić pierwsze znaki piśmienne, uste-
czkom szepleniącym składać litery abecadła. Szko-
ła jego założona pod świętem hasłem miłości bli-
źniego, miłości tego, co było ciemne a potrzebowa-
ło oświecenia, przetrwała wieki; Smiles, zwiedza-
jąc Medyolan w 1879 roku, widział w Niedzielę
drzwi wspaniałej katedry otwarte, a w nawie jej
tłum ubogiej dziatwy z książkami, z tabliczkami
w rękę, rozsiadły u stóp ołtarzy i posągów świę-
tych, które zdały się uśmiechać do nich pobłaźli-
wie i pojęcowsku.

Kardynał ogromne swoje dochody wydawał
przeważnie na budowanie szkół i dzieła oświaty,
ale i jemu trzeba było w tym zadaniu cnotli-
wym być mężem walecznym. Sam tak święcie
pełniąc urząd kapłański, żądał od innych, aby nie
stali się w Kościele tą „solą zwietrzałą“, którą
Chrystus przeznaczył na rzucenie w ogień i ztąd
wglądał pilnie w życie, w obyczaje księży swej
diecezyi, a szczególnie klasztorów, zakonników że-
brzących, głównie zgromadzenia: „Umilitati“, któ-
re postępowaniem swoim dawało powód do zgor-
szenia. Nakazywał im wrócić do prostego, ubo-
giego, poświęconego życia, jakie przepisywała re-
gula ich zakonu i żarzewie nienawiści zapalało
w nieczystych sercach zepsutych ludzi. Umilitati
zgorzeli się też najpierw niedzielną jego szkołą
w katedrze, krzyknęli, że kardynał narusza świę-
tość dnia Pańskiego, znieważa dom Boży i go-
dność kapłańską: i oto rozbudziła się drugostron-
nie ta nędzna hydra, która podnosi natychmiast
jedną ze swoich głów ohydnych, gdy tylko pełnią
się gdzieś szlachetne jakieś cnoty waleczne. Me-
dyolańska szkoła niedzielna została uznana przez
klasy wyższe za „niebezpieczną nowość“, oburza-
no się na nią, wykazywano jej możliwe złe skutki,
a choć ten mąż Boży nie spotkał się ze stosem, jak
inni mu podobni, jak Arnold z Brescii, Savonarola,
Jan Hus, niemniej bliźki był męczeństwa i
śmierci gwałtownej. Umilitati nasadzili nań mor-
dercę i gdy raz odprawiając mszę w katedrze, stał
przy ołtarzu, strzelono doń z muszkietu i trafio-
no, szczęściem tylko jedwabny i grubo haftowany
ornat odbił kulę, która potoczyła się na posadzkę
świątyni. A stało się to w chwili, gdy na chórze
śpiewano: „Niech serce wasze nie stanie się młdem,
ani nie będzie zatrwożone“, i kardynał też, który
był mężnego, szlachetnego ducha, nie przerwał
ofiary, modlił się w cichoci, gdy wszyscy przyto-
mni wkoło niego silnie wzruszeni i wstrząśnięci,
popadli w przerażenie, a kobiety poczęły płakać,
szlochać głośno.

Wspaniale piękny obraz dostojnego kapłań-
stwa, dostojnego człowieczeństwa! Kościół mia-
nował Karola Boromeusza świętym i jest też to
święty, do którego ducha modlić się może każdy
mąż świecki czy duchowny, chcący silną ręką
sprawować rządy obowiązku i pełnić słodkie dzieło
miłości i poświęcenia.

W wiekach dawnych zarazy bywały częste
i szerzyły spustoszenia, cięższe niż epidemie dzi-
siejsze. Brak policyi zdrowia, zacieśnione ulice
miast: wszystko się składało na to, aby plaga
rozryła się i zabierała tysiące ludzi. Ostatnia
wielka zaraza w Europie 1665 r. zabiła w Lon-
dynie 100,000 ludzi, choć miasto to liczyło sześć
razy mniej mieszkańców niż obecnie; poczem roz-
szerzyła się do prowincyi i w Yorku grasowała
okrutnie. Zamożniejsi uciekali, lecz zato bied-
niejsi marli tysiącami i byłiby marli bez ra-
tunku, gdyby nie miejscowy biskup Morton, który
na podobieństwo świętego męża włoskiego urzą-
dził szpitale, i w braku tych, którzyby chcieli po-
sługiwać nieszczęśliwym, sam stawał przy no-
szach, na których przenoszono dotkniętych za-
razą, a gdy w mieście poczęło brakować żywno-
ści, siadał na konia, jechał na wieś do swego

dziedzicznego folwarku i przywoził na siodle worki mąki i innych zapasów. Jeden z jego sług folwarcznych chciał z przywiązania dla pana pomagać mu, ale nie pozwolił na to: sam za przybyciem rozsiadł swego konia i siodłał go potem; miał klucz od bocznych drzwi dworu, do którego wchodził, nie stykając się z nikim, i wychodził w podobny sposób do spichrza, gdzie zabierał przygotowane zapasy żywności i odjeżdżał copperszej, nie zbliżywszy się do nikogo. Chodziło mu o to, aby zaraza nie rozszerzyła się poza miasto i dzięki jego staraniom, pilności i rozumnej administracji dokazano tego. Zasługa była tak ogromna, jak miłość bliźniego w piersi biskupa, jak jego wysokie pojęcie obowiązków kapłana.

W Londynie większa część lekarzy uciekla, a w ich liczbie i sławny Sydenham; pomiędzy tymi, którzy pozostali, najwybitniejszym przez poświęcenie był Dr Hodges. Dnie i noce przepędzał on przy łożu zarażonych, często pełnił przy nich posługi najprostsze i ciężko pomyśleć, że ten człowiek poświęcony nie znalazł w społeczeństwie swoim należnego poczucia się do obowiązku wdzięczności względem niego. Lecząc bezinteresownie, nietylko nic sobie nie zebrał, ale popadł w biedę i umarł w więzieniu Ludgate za długi! *Sunt lacrymae rerum.*

Człowiek ten zasłużył się swemu krajowi w inny jeszcze sposób. Najważniejszy, najlepszy pod względem naukowym opis zarazy wyszedł z jego pióra, napisany polacinie, a w wiek cały potem przełożony na język angielski przez D-ra Quincy. Defoe, nieśmiertelnie sławny autor *Robinsona*, czerpał z łacińskiego oryginału szczegóły do książki niemniej sławnej i popularnej w Anglii jak *Robinson*, i tak biedny Hodges obficie rozdając innym rozmaitego rodzaju dary: zdrowie, życie, sławę, dla siebie nie zebrał nic i umarł jak zbrodzień w celi więziennej!...

Między poświęconymi w tych czasach bohaterami miłości bliźniego znajdujemy kobietę. Zaraza wybuchała w różnych miejscowościach na prowincyi, przyniesiona tam przez ludzi, przez rzeczy, które były w zetknięciu z zarażonymi w Londynie. Krawiec zamieszkały w odległej miejscowości górskiej hrabstwa Derby, w miasteczku Eyam, dostał przysłane mu z Londynu pudło sukien. Chciał je przewietrzyć w samotnej izbie przy ogniu, lecz zjęła go przy robocie słabość nagła. Pokazały się znaki straszne i zmarł dnia czwartego, a zaraz potem zachorowało kilka osób i stał się popłoch okrutny. Postanowiono uciekać, porzucić domy i mienie, a unosić życie, ale było to roznieść ze sobą śmierć, rozszerzyć zarazę i ksiądz miejscowy, Wiliam Mompesson, wystąpił z krzyżem i słowem Bożem, błagając, aby przez miłość bliźniego zaniechano zamiaru. On sam zostawał z nimi, sam się poświęcał, więc miał prawo żądać od innych takiej samej ofiary dla dobra publicznego i stał się cud: 250 ludzi, którzy z bojaźni przed okrutną śmiercią rzucali domy, majątki odbiegało wszystkiego, co wiąże człowieka do ścian jego domu, do ogniska rodzinnego — zostało, zaklętych przez szczytne słowo i szczytny przykład. Ksiądz wysłał tylko do rodziny troje swych dzieci malutkich, chciał wysłać również młodą i bardzo delikatną żonę, ale kobieta się oparła. Jak niegdyś Rut rzekła do Noemi: — Twój kraj jest moim krajem! twój Bóg moim Bogiem! tak teraz ta żona powiedziała mężowi: Twoje życie jest moim życiem, twoja śmierć — moja śmiercią... i została z nim.

Została, i nietylko dzieliła z nim wszystkie trudności poświęcenia, ale stawała między nim a temi trudami, tem poświęceniem i zaskaniała go sobą od nich, ile mogła. A trwało to długo, ciągnęło się okrutnie, dręcząc i wyczerpując siły przez siedm miesięcy. Hrabia Devonshire nadsyłał uwiecznionym przez zarazę żywność, odzież, lekarstwa; składano to w umówionem miejscu między wzgórzami, a nieszczęśliwi przybywali z księdzem na czele, aby zabierać zapasy, którymi się dzielono. Lecz coraz to mniej, a mniej było tych, którzy tego potrzebowali; upadek na duchu wkładać się też począł; trzeba było oddziaływać podnosząc uczucia religijne, wiarę w opiekę i łaskę Bożą.

Aby wreszcie zgromadzenie się liczne nie udzielało zarazy zdrowym jeszcze, ksiądz postanowił odprawiać nabożeństwo niedzielne na otwartem powietrzu. Obrął sobie wśród przewiewnego jaru między górami odłam skały wyniosłej, aby mu służyła za ołtarz, lecz każdego tygodnia mniejszą była garstka modlących się tu do Boga, aż blada postać kobiety, klękającej zwykle u podnóża skały, nie ukazała się między niemi — wierna towarzyska, przyjaciółka i pomocnica Wiliama Mompesson umarła, a on, sam ją grzebiąc, rzekł na jej mogile: „Błogosławieni, którzy umierają w Panu, albowiem odpoczną po trudach“. I on był gotowy na śmierć; szczególnie od tej chwili osamotnienia swego, ale nie — śmierć ta omijała go i pozostał zdrowym i silnym do końca, dożył późnej starości. Napisał był w owym straszonym czasie doświadczenia w liście do biskupa: „Nasze miasteczko stało się Golgotą, miejscem męczarni“ potem też chciano go przenieść z tamąd, oddalić od wspomnień okrutnych i podnieść wyżej w hierarchii kościelnej: ofiarowano mu dziekanat w Lincoln, ale nie przyjął. Nie chciał porzucić grobu tej, która nie porzuciła go nigdy, pragnął dożyć tu dni swoich, wśród przywiązanej i tak szlachetnie przez niego podniesionej garstki ludzi. Umarł w 1708 r.

Dziwna rzecz stała się w Eyam w pięćdziesiąt lat później. Orząc w pobliżu miejsca, gdzie był cmentarz zarażonych, wyorano jakieś płótno, które musiało należeć do zarażonych, gdyż ci, którzy go dotykali, zachorowali natychmiast na tyfus. Było ich trzech i umarli wszyscy, a choroba rozprzestrzeniła się w miasteczku i zabiła 70 ludzi.

Smiles wykazuje, że zaraza tyfoidalnej gorączki, zabijająca corocznie w pewnych miastach Anglii tysiące ludzi, wymaga też od kapłanów i lekarzy podobnego jak wyżej wielkodusznego poświęcenia i opisuje straszliwy tyfus, panujący 1847 roku w Leeds. Siła choroby była tak ogromną, że naprzykład w siedmiu domach przy jednym placu zachorowało jednocześnie 28 osób. I tak było gdzieindziej, szczególnie w dzielnicach uboższych; zbudowano naprędce nowy szpital z drzewa, obrócono na taki sam użytek młyn poza miastem, a dwaj księża miejscowi, proboszcz i wikary anglikański, pełnili z niezachwianem mężstwem kapłańskie i miłosierne swe obowiązki. Ale księża katolicy zaznaczyli się szczególną, ewangeliczną ofiarnością. Proboszcz katolicki umarł też z tyfusu, potem zaraz poszedł za nim jego wikary, lecz nie zbrakło tych, którzy pragnęli stanąć w ich miejscu i na stanowisku nigdy nieopuszczonem umarło ich z kolei pięciu. Umarł również jeden ksiądz anglikański, wikary; wszystkim razem wzniesiono w mieście jeden pomnik z napisem: „Tu spoczywają ludzie, którzy padli ofiarą śmierci bolesnej, pełniąc święte obowiązki swoje“.

Bohaterstwo tych ludzi było ciche, skromne i spokojne. Najwyżsi bohaterowie kryją się między takimi właśnie: bohaterami nieznanymi historii — pisze Smiles. Między lekarzami jest ich liczba wielka i do godnych wspomnienia należy lekarz francuzki Larrey, który w czasie odwrotu zpod Moskwy dotrwał na stanowisku z poświęceniem najwyższem i jak żołnierz, który nie chce zbiedz za nic zpod chorągwi, tak on pełnił swój urząd lekarza i chirurga wśród braków, nędz, trudów nieopisanych straszliwej zimy. A los chciał, aby doświadczenia jego miały odcienie wszelkie, bo paliły go niegdyś żary afrykańskiego słońca pod piramidami Egiptu. Raz, w czasie jednej bitwy z Anglikami, generał francuzki Silly został ugodzony kulą w kolano, i Larrey spostrzegł, że tylko bezzwłoczna amputacja mogła go uchronić od śmierci. Więc zabrał się do niej na polu bitwy, pod ogniem nieprzyjacielskim, dokonał w przeciągu trzech minut, lecz niestety! armia francuzka się cofa, konnica angielska puszcza się w pogoń i cóż się stanie z tym, któremu zadał straszne cierpienie, mające uratować mu życie? Czy go zostawi, aby został stratomany kopytami końskimi, lub wzięty w niewolę jeńcem umierał? Chwyta nieszczęśliwego na ramiona i unosi w bok. Manowcami przez zarośla śpieszy za wojskiem francuzkiem i wyprzedza dragonów angielskich

otyle, że mógł się dostać do Alexandryi z rannym, którego wyleczył szczęśliwie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z PRAGI CZESKIEJ.

Mimowolna zwłoka. — Teatr narodowy w Pradze. — Otwarcie. — Z historii składek na rzecz teatru. — Wydawnictwa uroczyste. — Czeski teatr w Brnie na Morawie. — Jak się postępuje. — Wydawnictwo dla kobiet czeskich „Libusza“. — „Słownik kucharski“ przez Fr. Szpatnego. — Z poezyi. — Wrchlicki. — „Twardowski“. — Pokorný. — Książka o czeskich tańcach. — Parę słów w niemilej sprawie.

Należy nam bardzo przeprosić szanownych czytelników *Bluszczu*, że w korespondencyach naszych nastąpiła tak długa przerwa, którą jednak spowodowała, nie nasza wina, lecz rozmaite od nas niezależne, okoliczności. A szkoda, bo zaszły w Pradze i w Czechach w tym czasie rzeczy warte wiadomości i uwagi życzliwych nam; do tej liczby należy wspomnienie o życiu i śmierci Bolesława Jabłońskiego, opis przewiezienia zwłok jego ze starożytnego Krakowa do kraju ojczystego i dowody wielkiej sympatii okazywane przy tej sposobności, czeskiemu poecie, przez inteligencyą krakowską. Jakże miłoby było pisać o manifestacyi narodowej wdzięczności wobec pamięci Jabłońskiego! Niestety, sprawa już spóźniona — przepadła. Zresztą, dzienniki i ilustrowane tygodniki warszawskie takim bratnim współczuciem uczciły pamięć Jabłońskiego, że wiadomość o zasługach i duchu tego wzorowego kapłana i poety, który zostawił po sobie w dwóch pobratymczych krajach tak piękne wspomnienie, szeroko się rozeszła. Niechcąc zatem powtarzać tego, co już gdzieindziej napisane, przechodzę do sprawy najważniejszej obecnie, a jest nią dokończenie i uroczyste otwarcie narodowego teatru w Pradze. Stoimy dziś na progu budowy, której historia i wspomnienia napełniają nas uczuciem niewymownie głębokim, bo ta świątynia muz czeskich, ściśle jest związana z dziejami czeskiego odrodzenia; i niema zapewne świetniejszego świadectwa powszechnego rozwoju narodowej idei nad ten wspaniały gmach, który w złotych promieniach słońca wznosi się ku niebu znad brzegów Weltawy; z którejkolwiek strony patrzymy na Pragę, na tę — jak poczesku mówimy: — „naszą złotą maticzkę Pragę“, wszędzie się nam przedstawia ten gmach drogi niewypowiedziane, świetniejący w oczach naszych blaskiem cudownym, jako znak wielkiego *zwyyczstwa!*

Tak, odnieśliśmy zwycięstwo — nie to, które zdobywa się działami bagnetami, nie to, które robi toż odpowiednie wrażenie na tłumach ludzi powierzczochnych, ale zwycięstwo wypływające z potęgi ducha i idei. A z tem zwycięstwem łączy się nader tkliwa, rzewna i uwagi godna historia: jak w Czechach postępowano, aby w przeciągu kilkunastu lat z drobnych przeważnie krajcarów zebrać półtora miliona guldenów!

Zabrzmiało w całym kraju hasło: *Naród sobie i rezultat jego* — oto błyszczą nam znad brzegów Weltawy.

Długo-by było opisywać, jak zbierał się i zebrał nareszcie tak stosunkowo znaczny kapitał; powiem tylko, że nikt z czujących i myślących w narodzie ludzi nie usuwał się od współdziałania w składce. Biedny i bogaty, prosty robotnik czy rolnik i walczący z biedą literat — każdy według możności, ofiarował grosz jakiś na rzecz teatru narodowego. W miejscach publicznych, jak to w lokalach towarzystw, w kawiarniach, restauracjach, nawet i w mieszkaniach prywatnych, porozwieszano skarbonki z nadpisami: *Ve prospiech velikeho narodniho divadla v Praze*. I tak naprzykład zebrało się w jednej takiej skarbonce, u rzeźnika, przy ulicy Wodzieczkowej w Pradze, do 300 guldenów od gości, którzy tu wieczorują; te 300 guldenów składało się dosłownie z krajcarów, bo niezamożni to ludzie, którzy u rzeźnika za kilka krajcarów jadali. Ale dobra organizacja dużo znaczy; jeżeli każdy gość da codziennie tylko je-

den krajcar i takich gości jest dziennie naprzykład 50, łatwo obliczyć, ile to przyniesie w ciągu roku.

Podobnie działo się i w gronach rodzinnych. Zналиśmy osobiście parę takich rodzin, gdzie najstarszy syn, albo najstarsza córka, codziennie zbierała od członków rodziny „krajcary“ na teatr narodowy.

Uwagi godnym zapalem odznaczała się też ucząca się młodzież szkół, nawet najwyższych, i to nie tylko w Pradze, ale i na prowincyi. Znalazł się zwykle w każdej klasie gorliwy kassyer, który mimo rozmaitych przeszkód zbierał od kolegów krajcary, przeznaczone na ciastka. I takim sposobem zebrano wpośród najmłodszego naszego pokolenia dużo-set guldenów.

A cóż dopiero lud nasz wiejski! Bądźcie błogosławione wy, biedne wioski nasze, wy chatki prostego ludu naszego, gdzie każda sprawa narodowa tak wielkie zajęcie budzi, takie wzruszenie serc wywołuje! W dzień powszedni i świąteczny, przy chrzcinach, weselach, zabawach najrozmaitszego sposobu, przy zjazdach, zebraniach, wycieczkach, słowem, przy każdej sposobności płynęły składki na rzecz teatru.

W jednej redakcyi *Narodnich Listów* złożono na ten cel 200,000 guldenów. Ci wszyscy więc, którzy takim cierpliwym a wieloletnim zachodem złożyli się na to, aby naród czeski mógł mieć własny swój teatr, świątynią nie tylko sztuki narodowej, ale i języka ojczystego, oczekują z bijącym sercem uroczystej chwili otwarcia. I otwarcie to nastąpi niezadługo, w ostatnich dniach miesiąca Maja, prawdopodobnie 28 i 29, podczas bytności następcy tronu Rudolfa z księżną Stefanią w Pradze. Jak 1868 r., kiedy położono uroczyste kamień węgielny pod budowę teatru, tak i na uroczystość otwarcia zgromadzi się cały kraj, lud i inteligencja, żeby uczestniczyć w tym stanowczym dla narodu kroku naprzód. A już teraz robią się wielkie do tego przygotowania i nikt nie wątpi, że nasza stara macierz Praga zabłyśnie nam całym blaskiem starego swego uroku, zakipi pełną falą narodowego życia. Chociaż nie możemy jeszcze w tej chwili donieść napewno programu całej uroczystości, to przecież zapewnić już teraz możemy, że w uroczystości wezmą udział liczne deputacje z wszystkich stron czeskiego kraju. Również gości z dalszych stron nie będzie może brakowało, z czego się serdecznie cieszymy.

Literatura zrobi też swoje. Przygotowują już kilka wydawnictw, które w dniach uroczystości opuszczą prasę. Przedewszystkiem wypada zwrócić uwagę na pyszne dzieło: *Narodni divadlo*, wydane staraniem samego komitetu teatralnego. Będzie ono ilustrowaną historją tej naszej świątyni muz czeskich. *Maticie divadelni* wydaje osobny *Pamiętnik*, w którym pomieszczone zostaną wiadomości o czeskich teatrach wogóle. Ilustrowany tygodnik *Swietozor* wydaje numer uroczysty i *Divadelni listy* będą wychodzić podczas uroczystości, codziennie. Wszystko więc zapowiada chwile w narodowym naszym życiu pamiętne i życzyć tylko wypada, żeby żadna nie nastąpiła przeszkoda.

Co się zaś tyczy samego budynku, to panuje w nim gorączkowy ruch, bo dużo jest rzeczy, których wykończeniu więcej czasu żądało, niżeli jest do dyspozycyi. Pracuje się dlatego zdwojonemi siłami.

Zostawiając sobie na przyszłość obszerniejsze sprawozdanie z ruchu naszej narodowej sceny w Pradze, muszę jeszcze nadmienić, że siostrzana Morawa dzielnie idzie w ślad naszych kroków w tym kierunku narodowego odrodzenia. Morawa dotąd nie miała stałego teatru; teraz jednak zawiązał się w Bernie komitet, celem którego jest urządzenie w stolicy Morawy stałej narodowej sceny. Ma się rozumieć, że i tam nie dopomoże rząd, ani kapitał potrzebny złoży „śmietanka towarzyska“. Nie, w podobny jak u nas sposób drobne dobrowolne składki załatwią tę sprawę. Dzięki ofiarności ogółu, płyną już teraz pieniądze dosyć obficie, fundusz powiększa się codziennie i niema żadnej wątpliwości, że wkrótce się i Brno poszczyci swoim stałym teatrem. Wspierają tu i u nas myśl tę bardzo gorąco.

Tak postępuje się krok za krokiem; Czechy

z Morawą do jednego dążą celu, wspólnie sobie pomagają, wspólnie krzepiąc się na duchu, i przy każdej też sposobności brzmi w obu krańcach stara, znana pieśń:

Cieszymy się nadzieją miłą
Ze dawne czasy, znów wróca....
Kochajmy się!
Nie dajmy się!
Wybijmy się!

Od spraw teatrów przechodzimy do piśmiennictwa. Przedewszystkiem należy tu wspomnieć o niezmiernie dla rozwoju myśli narodowej w naszym wydawnictwie *Libusza*, przeznaczonem na dział literatury dla kobiet. *Libusza* jest wydawnictwem w rodzaju powszechnie znanej *Matici lidu*; co rok wychodzi sześć książek, za które płacą abonentki tylko guldena. Wielka więc taniałość i wybór dobrych prac rozpowszechnia to wydawnictwo po całym kraju. *Libusza* wychodzi od 1872 r. i wypuściła w czeski świat czytający 61 książek czyli 668 arkuszy drukowanych, w ilości więcej niż półmilionu exemplarzy. *Libusza*, redagowana ze szczególnym względem na interessa kobiet, zawiera prócz dobrze wybranych przekładów, prace oryginalne: Podlipskiej, Łuzickiej, L. Szymaczkowej i innych pisarek.

Przy tym dziale literatury wspomnieć nam należy o pracy, wprawdzie jeszcze nie wydanej, ale już skończonej, która leży w tece autora i czeka zmiłowania wydawcy. Jestto ze względu na nasz domowy język napisany „Kucharzsky słownik“ czesko-niemiecki, dokonany z wielką starannością przez jedyne a zasłużone naszego terminologa, który już wydał przeszło trzydzieści słowników terminologicznych, p. Franciszka Szpatnego. Przeglądaliśmy rękopismo i dziwiłiśmy się jego dokładności; dostarczy ono najmniej 18 arkuszy druku i poda 14,000 wyrazów. Wielka to praca i zasługująca na uznanie.

Z poezyi, która szczególnie w ostatnich czasach zajmuje w Czechach wybitne stanowisko, ponownie musimy zwrócić uwagę na niezmiernie płodnego Wrchlickiego. Wydał on nowy tom „Baśni epicznych“, które są mniej więcej dalszym ciągiem zbioru „Z hlubin“. Spotykamy w tej wiązance motywa z poezyi biblijnej, klasycznej i talmudycznej (Lilita, Alkestis) poezye romantyczne (Peire Vidal, Ginevra, Vlas králowny Elsy) i t. d. „Łza Twardowskiego“ wzięta jest z podań polskich. Wrchlicki i nowym tomem „Baśni epicznych“ dowodzi, że stoi na wysokości prawdziwej poezyi, co zresztą i nasz ogół i zagraniczna literatura przyznała. Prócz tego jest Wrchlicki ciągle czynnym jako tłumacz obcych dzieł poezyi klasycznej; jemu to zawdzięcza piśmiennictwo czeskie mistrzowski przekład „Boskiej komedyi“ Dantego. „Lumir“ zaś zamieszcza obszerny poemat Wrchlickiego: „Twardowski“. Gdy druk da nam całość tej poetycznej pracy, wrócimy do niej.

Rudolf Pokorny, którego przekład poezyi Zaleskiego nareszcie się drukuje (opuściło dotąd prasę 7 arkuszy) wydał tom oryginalnych poezyj „Z hor“, których dwie trzecie opiewają kraj tatrzański. Najszczęśliwszym jest Pokorny w obrazkach rodzajowych, w których umie dobrze charakteryzować narodową indywidualność. Poezje Pokornego są w kierunku, który utworowali Heyduk i Swatopelk Czech.

Ukazała się też niedawno mała, bez pretensyi napisana, jednak zajmująca książka: *Tańce* przez Fr. Dlouhego. Autor podał w wymienionej książce obraz *tańca* ze szczególnym względem na historyczny jego rozwój i cywilizacyjne jego znaczenie. Szczególnie zaś zajmującym jest oddział, w którym autor opisuje *czeskie narodowe tańce*. Chociaż z góry przyznaje, że ze wszystkich narodowych tańców polskie odznaczają się największą pięknoscą i wartoscą estetyczną, ale przytem dowodzi, że Czesi posiadają pomiędzy Słowianami tańców *najwięcej*. Autor wymienia sam przeszło 100 czeskich tańców. Na uwagę też zasługuje, że prawie w całym świecie ulubiony taniec „Polka“ urodził się w Czechach. Książka Dlouhego w ogóle dużo zawiera zajmujących szczegółów i z prawdziwą się czyta przyjemno-

ścią, gdyż i poezya narodowa (pieśni przy tańcach przez lud śpiewane) jej treść urozmaica.

Wyczerpawszy teraz materyał nowości, czujemy się w obowiązku dotknąć przynajmniej paru słowami sprawy, która do pewnego stopnia bolesne tu wywarła wrażenie. Otóż od niejaki-go czasu pokazują się w niektórych czasopismach polskich echa z Czech, które pod żadnym względem nazwać nie możemy odpowiednimi temu duchowi i temu kierunkowi, jaki u nas ludzie dobrych chęci starają się torować nie bez moralnej podstawy. Należy przyjąć „krytykę“ choćby najsurowszą, byle tylko była sprawiedliwą, ale bolesne robi wrażenie tendencyjne poniżanie i lekceważenie. Czesi czują dobrze, czego im braknie; czują też dobrze, co jest warunkiem ich zupełnego rozwoju, wdzięcznie przyjmują dobre rady i wskazówki: jednak minęły już czasy, kiedy zdawało się rzeczą możliwą patrzeć z góry na życie i indywidualność kraju, który wszystko, czem jest i czem istnieje, winien trudnej a jednak nigdy nie ustającej pracy. Pozwoliłiśmy sobie już kilka razy zwrócić na to uwagę, że kto chce Czechów rozumieć, powinien mieć przedewszystkiem uczucie, powinien nie mieć osobistych interessów i pretensyj nieusprawiedliwionych. Jeżeli się komu zdaje, że naród czeski nie jest wart, aby wyrażano się o nim w słowach ciepłych i sympatycznych, to zwracamy uwagę na ciekawy zbiór wyroków angielskich, francuzkich i innych zagranicznych *poważnych* autorów, zamieszczonych w osobnej książce, zachowanej w bibliotece p. p. Naprstków.

Co zaś się tyczy napaści na godność narodowości czeskiej, która naturalnie wywiera odpór i rodzi antypatyę, to z prawdziwą przyjemnością notujemy, że właśnie w tych dniach Polacy bawiący *dużo* czas w Czechach szczególnie w Pradze, i z prawa do inteligencji należący, czuli się moralnie obowiązani ogłosić w lwowskiej *Gazecie Narodowej* (Nr. 90) list ¹⁾, w którym w imieniu prawdy bronią rzeczywistego stanu rzeczy w Czechach. Jeden tylko ustęp z tego „Sprostowania“, pochodzącego (jeszcze raz powtarzamy) od Polaków, tutaj powtarzamy:

„Kto bliżej Czechów pozna, a nie *zrazi ich sobie nietaktownem postępowaniem*, kto nie patrzy przez szkiełka nienawiści zabarwione, ten wyrobi sobie sąd inny, i z pewnością nie taki, jaki posiada szanowny korespondent“.

Tak odpowiadają Polacy na lekceważenie kraju, w którym według własnego wyznania czują się „jakby na ziemi swej“. Słowa pochodzą, naturalnie, od tych Polaków, którzy postępując w osobistych stosunkach z Czechami w sposób odpowiedny, znajdują między niemi szczerych przyjaciół i chętnie bywają wszędzie widziani.

Ludzie zaś, którzy, nie umiejąc pozyskać sobie sympatyj, postępują na czeskiej ziemi tak niedelikatnie, tak zrażają sobie Czechów, że drżwią się przed niemi zawierają, nie mogą też rościć pretensyi ani do serdeczności, ani do gościnności i stosunków towarzyskiego życia, bo właśnie dlatego, że Czesi także mają poczucie godności, odwracają się od podobnych osób, jakiegokolwiek są one narodowości, i ztąd wywierają osoby te wpływ rozstrajający, wpływ ujemny. Przykro nam niezmiernie, żeśmy spraw takich dotknąć musieli.

Edward Jelinek.

KRYSTYNA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

(Christina, Königin von Schweden — Ein Lebensbild von Franz Schauerte—Freiburg 1881).

(Dokończenie).

Monaldeschi w trwodze śmiertelnej błagał opata, aby się za nim wstawił, podczas gdy żół-

1) Patrz również korespondencją z Pragi w N-rze 76 „Gaz. N.r.“ zamieszczoną.

nierze naglili go do spowiedzi, wywijając szpadami nad jego głową. Opat napomniął go, ażeby Boga błagał o zmiłowanie. Wtedy dowódca straży poszedł do królowej błagać o łaskę za skazanym, ale wnet powrócił smutny i rzekł ze łzami: „Margrabi, pomyśl o swojej duszy, gdyż umrzeć musisz“. I opat powtórnie błagał królową, zaklinając ją na rany Chrystusowe ażeby mu przebaczyła, ale królowa nie dała się zmiękczyć. Opat znowu z innej strony zaczął jej przedstawiać sprawę, dowodząc, że ponieważ znajduje się w gościnie u obcego króla, ten jej czyn taki za złe poczyta. Na co ona odrzekła, że wolno jej sędzić sługi swoje i za to tylko przed Bogiem odpowiada, a u króla znajduje się, nie jako szukająca schronienia, lecz jako wolna królowa i dlatego nie zgodzi się na oddanie sprawy sądom królewskim, gdyż ze swym zdradzieckim sługą processować się nie myśli, a o jego czarnej zdradzie, aż nadto dowodów w swem ręku posiada.

Z tonu słów jej przekonał się opat, że chociażby chciała sprawy tej zaniechać, jednak ucieczka Monaldeschiego mogłaby narazić jej życie. Opat stracił wszelką nadzieję i powrócił do Monaldeschiego przygotować go na śmierć.

Wyrok śmierci wykonano; dowódca straży pchnął skazanego szpadą w brzuch, ten pochwycił w rękę ostrze, przez co odciął sobie trzy palce u prawej ręki, ponieważ zaś miał koszulkę drucianą pod sukniemi, przeto kilka mu jeszcze ran zadano, zanim skonał.

Królowa dowiedziawszy się o spełnieniu wyroku, wyraziła żal i kazała trupa uczciwie pochować, wydając przytem znaczną sumę pieniędzy na msze za jego duszę.

Autor książki usiłuje, lubo nadaremnie, uniewinnić królową i z tego ohydny czyn. Czyn ten bowiem oburzył cały świat ówczesny, tembardziej, że jego pobudki nie były nigdy dosyć jasne i czyste. Jedni posądzali królową, że uczyniła tak wiedzioną zazdrością, czyli oburzona wiarołomstwem koniuszego, — inni, że się mściła za paszkwil, który tenże na nią napisał. Cokolwiek bądź, czy tak czy owak, jestto rys brzydki charakteru jej kobiecego, którego nie usprawiedliwi nigdy ani jej królewskość, ani jej *vis vitae necisque*, jakie miała nad swoim dworem. Wprawdzie i szwedzcy baronowie mieli własną jurysdykcją nad swymi sługami, ale mieć *prawo*, jak tego usiłuje dowieść autor, — a mieć *słuszność*, to dwie całkiem różne rzeczy. Nie zmniejsza samowoli tego jej postępkowi, ani ten przywilej, że była uważana za równą wszystkim innym monarchom, że miała prawo wysyłać swych posłów na wszystkie dwory, i że pierwszorzędni posłowie rezydowali na jej dworze, oraz że Monaldeschi nie zaprzeczał jej prawa sądu. Będąc więziony w pułapkę, między ostrzem trzech szpad, błagać mógł tylko o życie, a nie certować się o swe prawa.

Wprawdzie obyczaje, zwyczaje i prawa epoki minioniej niezawsze dadzą się mierzyć dzisiejszą skalą sądenia, lecz przytoczony przez autora przykład, jakoby Ludwik XIII w 1643 kazał również bez żadnych form prawnych rozstrzelać marszałka d'Ancre, nie jest już choćby z tego względu żadnym dowodem, że Ludwik XIII działał jako pan absolutny w *swój* państwie.

Choćby wreszcie sprawa ta z punktu prawa międzynarodowego, (posłowie zawsze mieli wojсковą jurysdykcją nad swoim otoczeniem) uprawnić się dała, niemniej wstrętne ona wówczas nawet wywołała wrażenie, a nie osłabiły go ani obrona Leibnitsa, ani pismo p. t.: *Tribunal principis peregrinantis*, sławnego prawnika Tesmara, który nawet zachwala wykonanie wyroku w tajemnicy i szybko, bez zwykłego biegu procedury.

Do wstrętu, jaki dziś jeszcze budzi ta sprawa, przyczynia się i to, że pozostała ona dotąd tajemnicą niewyjaśnioną, a mimo, że autor ciągle przytacza słowa Krystyny, jakoby miała do tego prawo, tembardziej że się Monaldeschi sam do winy przyznał, jednak nie jest w możności przytoczenia jakiego rodzaju była ta zbrodnia, z tej prostej przyczyny, iż i królowa, trzymając się zawsze w ogólnikach, nigdy jej wyjawić nie chciała; wyjawienie zaś byłoby lepiej sprawę wyjaśniło od takich frazesów królowej: „Wszystko co o mnie w tej mierze powiedzą, jest mi obojętne“, a Schil-

lera słowa: „Das Richterschwert womit der Mann sich ziert, verhasst ist in der Frauen Hand“, dadzą się najsumienniejsz zastosować i do Krystyny szwedzkiej.

* * *

Co do charakterystyki fizycznej i moralnej Krystyny autor różni się także stanowczo od wielu innych autorów, i kiedy jedni o niej piszą, że: „Kleła ciągle, cesała się raz na 15 dni, koszule miała zawsze zawałaną atramentem“ a list zachowany w bibliotece w Harlay tak uzupełnia ten widocznie przesadzony i niepoehlebny rysopis: „Kształt ma nieregularny, kuleje, nos dłuższy od nogi, oczy ładne, ale wzrok krótki, śmieje się tak, że twarz cała się marszczy jak kawałek pergaminu, rzucony na żarzące węgle... chodzi w czarnej peruce, nosi krótkie spodnie, kapelus i kołnierzyk mężki“, — autor przytacza te słowa księdza spowiednika: „Miała czoło otwarte, wielkie żywe oczy i łagodne spojrzenie, nos jastrzębi, usta małe i ładne. Amazonka jej jest tak lichą, że nie wiem czy warta pięć dukatów, i wogóle nosi się u dworu zawsze skromnie. Nigdy nie widziałem na niej złota albo srebra... o stroje nie dba wcale“, — i tu stwierdza uwagę powyższą, że „Rękawy miewała często zawałane atramentem, oraz koszule podarte“.

Lecz na jej pochwałę, chociaż czystość pracy nie przeszkadza, dodać trzeba, iż pięć godzin dziennie czytała, obiadowała krótko, piła tylko czystą wodę. Wogóle jest ona charakterem mężkim, odpowiednio nawet do przyszłej roli króla, przez ojca jej Gustawa Adolfa przygotowanym. Z tego pojmovania się jej jako króla, o mężkiej, silnej woli, płynie jej niechęć zawarcia ślubów małżeńskich jako nieznośnego jarzma, i niedbałość o zewnętrzny swój pojaw. „Ubięrała się kilka minut, niezważając na niepogody i na porę roku, odzianą była zawsze lekko i tak niepokaznie, że trudno było cudzoziemcowi widzieć w niej królową“.

Autor broni również jej najszczerzych intencji w przejściu na katolicyzm, odpierając liczne napaści posądzające ją między innymi, że zmieniła wiarę dla nabobienia wrzawy i rozgłosu. W tym celu przytacza własne słowa z jej Pamiętników, które istotnie, chociaż Pamiętnik pisze się zwykle dla skokietowania czytelników, zastanawiają i pociągają prawdą:

„Lecz ten król (Gustaw I) mimo, że był jednym z największych królów, jacy panowali w Szwecyi, miał to nieszczęście, iż splamił sławę swoją zbrodnią odstępstwa, gdyż wprowadził do swego państwa kacerstwo Lutra, a za nim poszli wszyscy królowie i następcy, z wyjątkiem króla Zygmunta (III), który był znowu pierwszym królem katolickim naszego domu po odpadnięciu od katolicyzmu...“

A w innym znowu miejscu:

„Gdy się jest katolikiem, ma się tę pociechę, iż się wierzy we wszystko, w co wierzyło tyle wielkich duchów, żyjących od szesnastu wieków...“

Nareszcie, z niemniejszą gorliwością i przytoczeniem wielu ustępów ze świadectw społecznych i późniejszych, broni autor Krystyny od zarzutu niemoralności. Istotnie, sposób jej życia swobodny, niekrepujący się w niczem, wcale nie kobiecy, oraz liczne i ciągłe stosunki ze znakomitymi wojownikami, uczonymi i artystami, mogły dać przedmiot nietylko do plotek skandalicznych, ale i do potwarzy. Prywatny człowiek rzadko uniknie podejrzeń, a cóż dopiero królowa, panująca, na którą wszystkich zwrócone oczy, zwłaszcza taka królowa, która rządzi samodzielnie, energicznie, pomiata etykietą, nazywa się urzędownie *królową*, wpływa przeważnie i rozumie na sprawy państwa, krótko mówiąc: każe wręcz zapomnieć o tem, iż należy do płci nazwanej słabą.

Najgłówniej francuzcy pisarze urobili jej tę sławę lekkomyślnej i niemoralnej kobiety, a za nimi powtórzyli i inni, jak Raumer a nawet Ranke. Ale autor energicznie nazywa te opisy paszkwiliami i na odparcie ich przytacza świadectwa księżnej de Montpensier i pani de Motteville, damy honorowej królowej francuzkiej, które obie ciągle się razem znajdowały z Krystyną, podczas jej pobytu we Francyi. Według słów Pallavicinie-

go, Krystyna rzekła raz: z wyrazem najgłębszej prawdy w głosie i twarzy, że nie popełniłaby żadnego brzydkiego czynu, choćby i sam Bóg tego nie dojrzał, bo myśl, iż jej własna dusza uczynkom jej się przygląda, aż nadto wystarcza“. W swoich zaś Pamiętnikach, tak o tem wspomina: „Jakkolwiek często byłam już nad przepaścią, przecież zawsze Twoja, o Boże, Wszemmocna ręka, mnie wyratowała. Ty wiesz, cokolwiek powie potwarz, że we wszystkich tych kłamliwych opowieściach, jestem niewinną“. Ktoś również wyraził się o niej, „że jest lepszą od swej reputacyi“.

Co zaś może najcharakterystyczniej ją maluje, to poniższe słowa, które raz wyrzekła gdy jej zarzucano, iż unika towarzystwa kobiecego: „Nie dlatego lubię mężczyzn, iż są mężczyzmi, ale dlatego, że nie są kobietami“. Dowcipne to odezwanie się przypisywano mylnie w najnowszych czasach francuzkiej cesarzowej Eugenii.

Poprzestajemy na tem sprawozdaniu z obszernej, bo kilkaset stronnic liczącej, książki p. Schauertergo. Nie zaprzeczamy, że przedmiot jej dalekim jest od gorączki chwili dzisiejszej, ale historyczna treść, oprócz szczegółów dotyczących się Rzeczypospolitej Polskiej, daje ciekawy wizerunek kobiety niepospolitej, która, nie posiadając poetycznego uroku sentymentalno-rozpustnej Maryi Stuart, miała jednak tę zaletę, że dzielnie rządziła państwem przez lat dziesięć, i tę drugą, że była w danych sobie społecznie warunkach znakomitą krzewicielką oświaty i cywilizacyi.

Edward Lubowski.

Korrespondencya zagraniczna.

Wydawnictwa Towarzystwa Pedagogicznego. — *Sadownictwo Rohringa*. — *Nauka ręcznych robót kobiecych* przez Aniełę Grzywińską. — *Geografia* przez prof. Benoniego i Tatamira. — *Ziemie olskie, lekcye geografii, połączone z etnografią*, przez Julię Selingerową. — *Podręczniki dla szkół przemysłowych*. — *Biblioteka dla młodzieży*. — *Dzieci i ptaszki*, przez W. Bełzę. — *Spiewnik* przez Czubskiego. — *Sto wierszyków*, przez Szmeltaura. — *Telefon* ulepszone przez Machalskiego. — *Rozmowa z Brodami*. — *Album pamiątkowe dla arcyksięcia Rudolfa*. — *Teatr*. — *Nowa dyrekeya*. — *Występy gościnne* pp. Świąckiej, Chomińskiego i Rapackiego.

Lwów, w Kwietniu 1881 r.

Przyznaję się do grzechu... Nie pisałem dotąd o wydawnictwach Towarzystwa Pedagogicznego, zajmujących ważne miejsce w literaturze naszej szkolniczej. Aby zrzucić ciężar z sumienia, zaczynam od nich. Towarzystwo Pedagogiczne, liczące w tej chwili trzynasty już rok istnienia, obok innych czynności na właściwym sobie polu, przedsięwzięło wspomagać szkołę wydawaniem rozmaitej treści podręczników, z wszystkich działów nauki, służących bądź-to jako materiał pedagogiczny nauczycielom, bądź jako książki uzupełniające naukę szkolną uczniom. Zarząd centralny Towarzystwa nie ogranicza się w tym względzie jedynie na szkole ludowej, ale zakresem swych wydawnictw objął cały systemat szkół niższych i średnich, tak, iż w szeregu wydanych przezeń książek znajdujemy przeznaczoną dla gimnazjów, dla szkół przemysłowych i wydziałowych, tak dobrze jak dla początkowych ludowych. Wydawnictwa te, wogóle biorąc, mają przedwzyskiem tę zaletę, iż są układane i pisane ze znajomością rzeczy, powiększej części przez ludzi oddanych wyłącznie zawodowi nauczycielskiemu, a zatem znających najlepiej z doświadczenia potrzeby szkoły i jej wymagania i najwłaściwszą metodę kształcenia młodych umysłów, najskuteczniejszy sposób wykładu każdej nauki, systematycznie, z pewnym umiętnie obmyślanym planem. Komitet redakcyjny, którego jednym z najczynniejszych członków jest professor wyższych szkół realnych Benoni, czuwa starannie nad treścią odpowiednią celowi i stosownym układem książek przyjętych w zakres wydawnictwa, z czego wynika, że książki te, mając już temsamem za sobą rękomię wartości, poszukiwane są nietylko w sferach nauczycielskich, ale rozchodzą się także poza szkołę

służąc do kształcenia w rozmaitych przedmiotach młodzieży w wychowaniu domowym. Ograniczyć się tutaj jedynie na przytoczeniu książek wydanych przez Towarzystwo Pedagogiczne w ciągu ostatniego roku, to jest najnowszych, z których można poznać wogóle kierunek i użyteczność rzeczonych wydawnictw. Towarzystwo trzyma się tej zasady, aby dla każdego rodzaju szkół dostarczać stosownych podręczników. I tak wyszedł obecnie już tomik siódmy wydanej przez *Biblioteki dla szkół ludowych*, i zawiera naukę *sadownictwa*, ułożoną przez Adolfa Rohringa, nauczyciela sadownictwa w Zakładzie hr. Stanisława Skarbka w Drohowsku. Text objaśniony jest pięćdziesięcią czterema rycinami i jedną tablicą litografowaną. Jasność i zwięzłość wykładu, czystość języka, zastosowanie treści do naszych stosunków klimatologicznych i do naszej gleby: są to zalety książki tej, bardzo użytecznej w swoim rodzaju. Pielęgnowanie sadownictwa u nas pożądanem jest nie tylko ze względu na dochody, jakie przynosić może, podnosząc dobrobyt rządowego właściciela, ale ono z natury swojej jest, że tak powiem, żywiołem cywilizacyjnym, będąc zajęciem szlachetnym, odwodzącem lud od próżniactwa i obudzającym w nim zamiłowanie owoców własnej pracy. Starania, aby przy każdej szkole ludowej zaprowadzić szkółkę drzew owocowych i dzieci wiejskie zapoznawać z sadownictwem praktycznie, a temsamem obudzić w nich wcześniej zamiłowanie tego zatrudnienia, przynieść muszą z czasem plon pożądany, a dziełko p. Rohringa może się do tego bardzo skutecznie przyczynić. Podzielił on wykład swój na trzy części. W pierwszej umieścił naukę o zakładaniu szkółek drzew owocowych; w drugiej mówi o zakładaniu sadów i ogrodów, o chorobach drzew, o szkodliwych owadach; w trzeciej o rozmaitym użytku owoców, o przechowywaniu tychże i t. p.; w końcu dołączony jest dodatek o drzewach owocowych karłowatych. Znajdujemy więc tu objętą całość przedmiotu, tak, iż, poznawszy książkę, poznamyśmy się z głównymi zasadami umiejętnego sadownictwa, popularnie wyłożonemi, a mianowicie, ze sposobami pielęgnowania tych drzew owocowych, które u nas najłatwiej się przyjmują i z jaknajmniejszym zachodem a znacznym pożytkiem rozpowszechnić się dadzą.

Wybornie ułożoną jest *Nauka robót ręcznych kobiecych*, do użytku seminariów nauczycielskich żeńskich, oraz szkół wydziałowych i ludowych, tudzież wogóle dla zakładów wychowawczych czyż żeńskich, napisana metodycznie przez Anielę Grzywińską, nauczycielkę robót ręcznych w seminarium nauczycielskim żeńskim, tudzież w „Stowarzyszeniu pracy kobiet“ we Lwowie. Autorka, jako nauczycielka z zawodu, zna dobrze potrzeby rozkład szkół tutejszych, jakoż tak podzieliła swą książkę, objawsz ją wszystkie rodzaje robót kobiecych, od najłatwiejszych, począwszy, aż do nauki kroju, iż dla wszystkich szkół wyższych i niższych użyć jej można rozmaicie, kombinując zawartą w niej naukę, stosownie do każdej szkoły i klasy. Jak się zapatruje na cel właściwy takiego podręcznika, wyłuszcza autorka w przedmowie. Wydając tę książeczkę, powiada: „Mam na myśli ułatwienie nauki robót uczącym się, a zarazem „obudzenie zamiłowania“ do tych-że robót we wszystkich kobietach, młodszych i starszych, zamożniejszych i uboższych, którym ta książeczka dostanie się do ręki.“

W życiu praktycznym każdej kobiety umiejętność i zamiłowanie robót ręcznych bardzo jest potrzebnem. Ileż-to godzin przy robocie przyjemnie i pożytecznie spędzić można! W każdym zmartwieniu, gdy trudno zająć się umysłową pracą, robota ręczna skraca długie godziny smutku, a czyniąc zadość potrzebom rodziny i osób najbliższych, w trudnym, a często nieprzewidzianym

razie, podaje możność zapracowania na utrzymanie.

Maszyny, zastępujące ręczną pracę kobiecą, dobre są w większych pracowniach, wyrabiających towar na większą sprzedaż; ale kobieta, wyrzekająca się w kółku rodzinnem wszelkiej roboty ręcznej na potrzebę domową, rozmija się poniekąd ze swem zadaniem i obowiązkiem, i dlatego, zdaniem naszym, książka p. Grzywińskiej, tak w szkole jak i poza szkołą bardzo użyteczną być może.

Dwaj wytrawni na polu pedagogicznym pracownicy, p. Benoni professor wyższej szkoły realnej i Lucyan Tatomir, professor seminarium nauczycielskiego, obadwaj znani z wydawanych dawniej prac geograficznych, wydali obecnie opracowany wspólnie *Krótki rys geografii do użytku szkolnego*, z dwunastu drzeworytami, objaśniającymi ważniejsze pojęcia matematycznej i fizycznej geografii. Książka ta przeznaczona jest dla pierwszej klasy i tutejszych szkół gimnazjalnych i realnych; ułożona zatem ściśle według planu naukowego rzeczonych szkół; może też być z wielką korzyścią używana we wszystkich zakładach naukowych, na kursie odpowiednim pierwszej klasie gimnazjalnej szkół publicznych. Część pierwsza zawiera geografiją fizyczną i kosmografiją, podaną przystępnie w jaknajściślejszem streszczeniu; część druga geografiją pięciu części świata, z podaniem najpotrzebniejszych dat statystycznych. Doświadczenie nauczycielskie obu autorów służyło za dobrego przewodnika, przy ułożeniu podręcznika, w którym niema przeładowania treści, a rzecz wyluszczone przystępnie.

Nie wiem, czem się to dzieje właściwe, ale to pewna, że geografia bywa najmilszym przedmiotem nauki w szkołach; że się jej młodzież chętniej uczy niż czegokolwiek innego. Przyczynia się zapewne do tego głównie użycie map, które czyni naukę obrazową, ułatwia ją i urozmaica. Wybornym podręcznikiem do nauki geografii jest wydane przed laty kilku, dziełko pani Julii Selingerowej, dyrektorki szkoły wydziałowej żeńskiej w Tarnopolu, pod tytułem: *Ziemia polska—lekcye geografii połączone z etnografią*. Nie można pojąć dlaczego książka ta, tak dobrze odpowiadająca swemu zadaniu, nie znalazła należytej wziętości i pokupu, pomimo, że była zalecana przez Radę Szkolną i przez Towarzystwo Pedagogiczne i pomimo swej nader przystępnej ceny; autorka bowiem chcąc ułatwić ile możności rozpowszechnienie książki, zniżyła cenę na 30 centów, za tom dosyć pokaźny. Kto jednak u nas używa amerykańskich sposobów reklamy, ten najczęściej doznaje losu takiego, jak książka p. Selingerowej, tym razem z prawdziwą szkodą szkół i młodzieży. Zarzucają jej, że jest kompilacją, ale któreż podręcznik szkolny nie jest w gruncie rzeczy kompilacją! Dobre skompilowanie wiadomości i zasad sprawdzonych umiejętnie i powszechnie przyjętych jest zadaniem książki szkolnej, która jeśli ma odpowiedzieć swemu przeznaczeniu, nie może zawierać hipotez oryginalnych i nowych wprowadzać rzeczy. Wszakże i wyżej przytoczona geografia prof. Benoniego i Tatomira nie jest niczem innym, jak tylko kompilacją z dzieł dawniejszych istotnej wartości zestawioną, bo autorowie jej także nie jeździli osobiście po krajach, które opisują, ani dat statystycznych nie czerpali ze źródeł pierwotnych, na miejscu, ani z dokumentów archiwalnych, lecz znachodzili je już ogłoszone, bądź w sprawozdaniach rządowych, bądź innych dawniejszych dziełach, co jednakże bynajmniej nie ujmuje wartości ich pracy. Toż samo da się powiedzieć o *Opisie ziem polskich* p. Selingerowej, która-to książka, zdaniem mojem, może się liczyć do najlepszych podręczników w tym przedmiocie.

Szkoły przemysłowe wymagają książek zupełnie inaczej ułożonych, niżeli podręczniki dla innych

szkół przeznaczone. Treść tutaj powinna być zastosowaną do wyłącznego szkół tych przeznaczenia i wiązać się z pewnym kierunkiem praktycznym, będącym główną cechą szkoły przemysłowej. Książki używane w szkołach ludowych, przeznaczone dla uczniów początkowych, dla dzieci i młodzieży wiejskiej, nie odpowiadają potrzebom szkół przemysłowych i rzemieślniczych, do których uczęszczają uczniowie starsi już wiekiem i z szerszej rozwiniętymi pojęciami, przytem żyjący w mieście, co także przy kształceniu ich uwzględnić należy. Przeciwnie: książki pisane dla szkół średnich, dla gimnazyów i realnych są już zaobszerne, zatrudne, obejmują owiele szerszy zakres wiadomości, ażeby mogły być użyte do nauki w początkowej szkole przemysłowej lub rzemieślniczej. Z tego powodu kommissya zawiadująca miejską szkołą przemysłową lwowską postanowiła postarać się o stosowne dla rzeczonych szkół książki we wszystkich wykładanych w niej przedmiotach, a Towarzystwo Pedagogiczne tem chętniej zgodziło się z tą myślą i podjęło nakład, że samo krząta się około zakładania szkół takich, jak na przykład szkoła przemysłowa w Przemyślu, założona w roku zeszłym staraniem tamtejszego oddziału tegoż towarzystwa. Skutkiem powyższego postanowienia rozpoczęto wydawać *Bibliotekę dla uczniów szkół przemysłowych*, której dotychczas wyszły trzy tomiki, mianowicie:

- 1) *Książka do czytania.*
- 2) *Podręcznik do nauki języka niemieckiego.*
- 3) *Nauka rachunków dla przemysłowców.*

Układ wszystkich trzech książek jest bardzo stosowny, albowiem miano tu na względzie odrębny charakter szkół, dla których są przeznaczone, powołanie uczniów i stopień ich wykształcenia, a przytem krótki wymiar czasu, pozostawiony do nauki szkolnej uczniom tutaj uczęszczającym. W ściśnionym programmacie, w którym nauka przedmiotów, mających na celu wykształcenie humanitarne, z natury rzeczy w jaknajszczęśliwszym musi się zawrzeć ramach, bardzo ważną rolę odgrywa „Książka do czytania“. Dobór przedmiotów musi być w niej taki, aby była, że tak się wyrażę, elementarną encyklopedją wiadomości niezbędnie każdemu w życiu powszednim potrzebnych i zastąpiła poniekąd wiele innych książek. Winna ona, jak słusznie powiada kommissya redakcyjna, *uzupełniać w rozmaitych kierunkach naukę szkolną*, a przytem wpływać na podniesienie moralne i rozwój pojęć religijnych młodzieży. Stosownie do tego programmatu, wydana przez Towarzystwo Pedagogiczne *Książka do czytania* zawiera, oprócz artykułów treści etycznej, wiadomości z zakresu historii i geografii, nauk przyrodniczych, higieny, technologii i t. p. W licznym tym zbiorze artykułów wierszem i prozą rozmaitej treści, znajdują się niektóre znakomitego pióra, wzięte z dzieł pierwszorzędných pisarzy. Inne, pisane przystępnie i zajmująco, odnoszą się głównie do rzeczy krajowych, jak n. p. opis Borysławia, lwowskiego muzeum przyrodniczego im. Dzieduszyckich, o nauce rzemiosł w Zakładzie Drohowskim i t. p.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 19-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Koronkarstwo, przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Z Pragi Czeskiej, przez Edwarda Jelinka. — Krystyna, królowa szwedzka, biografia, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — Korespondencya zagraniczna, Lwów.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg)

— Ale wierzę, wierzę, gdy pan tak utrzymuje! — odparła z taką samą lekkością, z jaką on mówił. — jedna z guwernantek, o której właśnie myślę, ma także przewróconą głowę i wyobrażenia nad stan. Czyż to nie jest oburzającym zachwalstwem, że biedna ta dziewczyna ośmiela się mieć sympatyę i antypatyę, zupełnie tak jak pan? Otóż wiem, że wysoką zasługę bogactwa stawia ona zupełnie na tym samym stopniu, na którym pan stawiasz nienawistne guwernantki — to jest nie wchodzić one w zakres jej pragnień.

W tej ostrej odpowiedzi przebiła się silne rozdrażnienie, lecz on zdawał się nie spostrzegać tego.

— Och, nie pozwól panna wmawiać w siebie podobnych rzeczy! — rzekł, śmiejąc się wesoło. — Jesteś bardzo rozsądną dziewczyną i według mego zdania co do inteligencji prawdziwie cudowną wśród sfery swojej istoty, ale nie umiesz czytać w duszy twej pani, która dotąd pozostała dla ciebie tajemnicą. Okłamuje cię ona najniesumieniej. Dla tego też niech sobie jedzie do zamorskiego Eldorado! Z całego serca życzę jej powodzenia. Niech będzie tam szczęśliwą na swój sposób, aby tylko nie zabierała ze sobą tych, którym tu może być lepiej, niżeli tam. Wszak panna nie pojedziesz z nią... nie? Wszak pozostaniesz w Hirschwinkel? — zapytał z niepokojem, prawie błagając.

— Ale to wcale jej nie wzruszyło. — Pozostać tu? Liczyć na los i czekać jego łask... — odrzekła z trudną do opisania goryczą sztycherstwa.

— Łaski losu mogą nadejść prędzej, niż panna przypuszczasz — zawołał szczególnie niepewnym, prawie drżącym głosem. Czuć było, że mówi szczerze, z głębi silnie wzruszonego serca. Przynął się bliżej, ale ona cofnęła się przerażona i mimowolnym ruchem podniosła prawą rękę — ostry sierp zabłysnął pomiędzy nimi.

— Będę musiał odebrać pannie to nieznośne żelazo! — zawołał z gniewem i nagle, szybkim poruszeniem starał się wyrwać jej niebezpieczną broń. Stało się to z błyskawiczną szybkością, lecz jak się stało, tego oboje nie wiedzieli: on, cofnął się nagle, a ona wydawszy okrzyk przerażenia, odrzuciła daleko od siebie sierp.

— Czy to moja wina? — zapytała z bolesnym niepokojem.

— A choć by nawet! Stało się to, na co niewątpliwie zasłużyłem — mówił wydobywając chustkę i obwijając nią zranioną rękę. — Kara zawsze powinna nastąpić po przewinieniu. — Uśmiechnął się złośliwie nieco, ukazując dwa rzędy białych jak perły zębów. — Już w pierwszym dniu na owym mostku pod tartakiem, gdzie stał sławne otrzymałem odpowiedzi, wiedziałem doskonale, że osty w Turynii nieznośnie kłują — a przecież byłem tak nierozsądny, że samoświadcząc narażiłem się znowu. — Ukłonił się ze złośliwym szacunkiem. — No, a teraz skwitowaliśmy się już piękną skromnością. Otrzymałem już moją część.

Dziewczyna nie nie odpowiedziała. Stojąc nieruchomo, z oczyma utkwionemi w białą fularową chustkę, z nieopisanem przerażeniem wpatrywała się, jak z szybkością zastraszającą ukazywały się na niej ogromne czerwone plamy. Aż naraz zerwała się jak ptak, gdy skrzydła rozwinię, przebiegła ogród z błyskawiczną szybkością i zniknęła w malinowych krzakach.

Pomimo całej niechęci, Henryk zaczął się śmiać. Czy nie miał słuszności utrzymując, że ta dziewczyna z natury inteligentna i niepospolicie zdolna, nawet chętna do pracy, została zepsuta przez guwernantkę? Oto choruje już na rozdrażnienie nerwów i nie może znieść widoku krwi. Prosta, spokojnie pracowitem życiem zajęta dziewczyna była by z naturalną dobrocią kobiecą opatrzyła mu rękę...

Mysząc to uchodził żywo z ogrodu i czuł się pobitym, zwyciężonym i to pod każdym względem. Chciał udawać obojętnego, a okazał się gorętszym jeszcze niż zwykle, przywołał na pomoc pogardę, lecz i ta na nie się nie przydała. Przy pierwszym spojrzeniu zapłakanych oczu dziewczyny z całej tej pogardy nie zostało ani śladu.

Opuściwszy ogród, powracał przez samotny las rozmyślając o bolesnych zawodach. Przez jedną, krótką chwilę czuł się tak bardzo, tak niewypowiedzianie szczęśliwym, jak gdyby niebo otworzyło się po nad jego głowami i miało spełnić wszystkie najserdeczniejsze pragnienia młodzieńca. Dziewczyna ukochana była niewinna, była wolną i żaden inny nie miał do niej najmniejszych praw! Dowiodła mu tego niezbitcie, wierzył jej niezachwianie, ale na cóż mu się to przydało? Wprawdzie nie kochała nikogo, ale i on był jej zupełnie obojętnym. Nie mogły pomódz tu żadne perswazyje, żadne łudzenia się i pocieszenia nadzieją przyszłości. Należało pogodzić się ze smutnym losem, walczyć po mężku z nieszczęsną namiętnością i odnieść koniecznie nad nią zwycięstwo, aby przynajmniej nie stracić tej trochę szacunku, którą jeszcze dotąd miał dla siebie samego.

Gorąco było ogromne, od dawna już nie opadła ani kropelka deszczu, słońce wschodziło w dzień na niebo bez chmury, bez obłoczka, a palące jego żary zdawały się wysuszać ziemię aż do głębi. Wody wysychały, zieloność lasów i łąk traciła świeżość, tylko okryte kłosami pola złościły się wspaniale. Wśród lasów nawet było parno i Griebłowa utrzymywała w rozżaleniu, że Pan Bóg zapomniał o świecie, a szczególnie o Turynii, która przecież warta była, aby o niej pomyślano.

Henryk nie przeczył jej bynajmniej; upałowi przypisywał ten wpływ denerwujący, który go dziwnie rozbierał. Mogło to być również skutkiem skaleczenia, silnie mu dolegającego, szczególnie przy gorącu, które się zwiększyło w południowych godzinach. Ręka tak mu paliła, jak gdyby był w niej ogień, polewał ją sobie wodą, ale na nieszczeście sprowadziło to nań drugą katastrofę, bo gdy Griebłowa dowiedziała się, że kazał sobie odmienić co czas jakiś wodę, którą mu przynoszono ze źródła do altany ogrodowej, przybiegła co tchu, aby fakt sprawdzić naocznie. — Co! jak? Skaleczenie scyzorykiem w tem miejscu i tak głębokie? Kiwała głową, rzucała na p. dziedzica spojrzenia ukośne, przyznawała ze szczerocią największą, że jest za ciemna, aby to zrozumieć, rzuciła nawet jakąś filozoficzną uwagę o potrzebie ostrożności w dotykaniu narzędzi ostrych, lecz w końcu postanowiła przynieść szarpi, które gdzieś miała — nie pamiętała tylko w której szufladzie komody, lub może szafki przeznaczonej na chowanie starej bielizny, przytem arniki i ręczników, aby urządzić temblak. — Nie jestem zręczna do tego — wyznawała. — Nikt u nas od Bóg wie ile lat nie skaleczył się w ten sposób, bo co do mego Piotra, to

zmyłabym mu porządnie głowę, gdyby tak używał... scyzoryka.

Wyszła nareszcie, nie obiecując jednak wrócić natychmiast z powodu niewiadomości co do zachowania szarpi, a Henryk odetchnął. Gniewała go do najwyższego stopnia pół słówkami swojemi, dla czego jednak nie okazał jej tego jawnie i znośił? — Oh! mruknął — to wszystko przyprowadzi mnie o szaleństwo jeżeli potrwa długo...

Co? czy zagadkowy sposób wyrażania się Griebłowej? Henryk owinąwszy wilgotną chustką rękę wsparł się na poduszce kanapki i wdychał, gdy nagle usłyszał na schodach coś, jak gdyby lekki chód kotka. Coś szło i stanęło. Nie Griebłowa, o! nie, chyba Ludwisia, ale nie... Ogarnęło go jakieś dziwne marzenie, a gdyby to być mogła — dziewczyna z folwarku!

Nie podnosił oczu, patrzył przez spuszczone rzęsy powiek, aby mógł dłużej śnić na jawie, aż nagle zerwał się na nogi i zaczerwienił ogromnie. To już przecież nie mogło być halucynacją, że ona — ona właśnie stała w progu.

Nieśmiała się ruszyć, stanąwszy tam. Gdy wszyscy byli tak zgrzani, ona przeciwnie zdawała się niedoświadczać najmniejszego wpływu ognistych żarów. Chustka osunęła jej się z głowy na ramiona, a twarz wyglądała z pod tej bieli blada i bez cienia żadnego, jak u lilii.

On się więcej zląkł, jak ucieszył. Co za szaleństwo przychodzić do niego, ryzykować do reszty dobre imię swoje!... Griebłowa mogła nadejść w tej chwili... oh! co za nierozsądek...

— Czego panna chcesz? zawołał też niezmiernie zmieszany i ztąd głos zrobił mu się wielce surowy. Po co panna przyszła?

Ona stała się bledszą jeszcze. Nie posunęła się ani o linię odepchnięcia i tylko podniosła na niego wzrok, jak gdyby błagający. — Mój pan kłania się panu i odsyła książki — szepnęła. — Prosi o inne, o drugi tom Immermanna...

Ah! to tak... przyszła tu jako służąca, przysłała do niego z interessem swego państwa. Dziwna rzecz, jak zapomniał zawsze o jej położeniu towarzyskiem i zdawało mu się zawsze, że to jest osoba z jego sfery, z jego otoczenia.

— Nie mam Immermanna pod ręką — rzekł. Usiądź panna, proszę, ale nie tam, tu, tu bliżej. No, proszę koniecznie tutaj; ja pójdę do dworu do biblioteki.

— O nie męcz się pan, to niepilne i nawet, nawet...

Trudno jej było wysłowić się, ale uczyniła to nareszcie. — Ja tu przyszłam głównie dla ręki pańskiej... dodała zeicha.

Jemu aż się coś zakręciło w głowie. — Dla ręki mojej panna tu przysłała! zawołał żywo — o! to nie... nie boli — wcale nie boli...

Uśmiechał się tak łagodnie, tak przyjemnie. Postąpił ku niej i choć na owinięciu ręki, którą pokazał, widać było plamy krwi, on zdawał się pływać w jakimś morzu rozkoszy. — Siadźże panna — zawołał teraz wesoło — nie dam tak stać...

Pochwycił ją drugą, zdrową ręką za rękę i żartobliwie, z uśmiechem rozchylającym świąże, krolowe jego usta, chciał ją pociągnąć ku kanapce.

Ale ona nie pozwoliła na to. Tak jakos wyprostowała się, tak spojrziała poważnie, że przestał natychmiast być natrętnym.

— Chcę opatrzyć rękę pana — rzekła wtedy. Byłabym to zrobiła na miejscu, zaraz w ogrodzie, ale pan nie zezwalał. Poszłam do domu po płótno i już nie zastałam nikogo, wróciwszy.

On nie teraz nie mówił. Stał i słuchał, zmuszając ją niejako, aby mówiła dalej i rzekła też: — Skaleczenie jest dość głębokie i ja jestem jego przyczyną, więc jest moim obowiązkiem.

— Opatrzyć mi ranę... Czy tak? I dla tego panna przysłała?

Mówił to znów szorstko, prawie gniewnie, ale ona odpowiedziała spokojnie, tylko poważnie. — Tak

dla tego tu przyszedłem i przyniosłem, co trzeba. Poczęła wyjmować z koszyczka, w którym były i książki, jakąś flaszeczkę z lekarstwem i paczkę bielizny, ale on rzekł żywo: — Nie fatyguj się panna, nie dam ani tknąć ręki...

Cofnął się od niej w tył, odszedł po za stół, jakgdyby jej tu nie było, ale dziwna rzecz, ani ruszyła się z miejsca. Powiedział wyraźnie, że książki odesła na folwark przed wieczorem przez swego służącego, lecz ona, odkorkowawszy flaszeczkę i rozwinięszy płatki płócienne, ozwała się do niego głosem miękko proszącym: — Pozwól mi pan spełnić mój obowiązek, pozwól...

— Nie... nie chcę...

— Ale ja tak proszę...

— Aby spełnić obowiązek?

— Tak...

Powyższe pytanie, on jej zadał szydlerczo, ale jej odpowiedź była poważna. — Dziękuję panie za jej chwalebne chęci, ale pomocy stanowczo nie przyjmę. Kto coś robi tylko z obowiązku, łatwo się uspokoi, gdy usłyszy, że go od tego zwalniamy i ja też tak czynię. Nie masz sobie panna nic do wyrzucenia: skaleczyłem się sam i przez własną nieostrożność, zatem nie ma tu wcale nieczyjej winy, prócz mojej i ztąd żadnego obowiązku do poświęcenia się, aby ulżyć mi bólu.

— A czy pana boli?

— Tak, boli mnie; gdy woda nie chłodzi dyabło boli...

— Ale panie dziękuję za miłosierne zajęcie się moją osobą a chcąc uspokoić drażliwe jej sumienie oświadczam uroczyście, że uczyniłaś dla mnie wszystko, co tylko było w twej mocy. Jeżeli by nastąpiło co nieprzyjemnego, to już będzie moja własna wina. No! czyż panna zadowolona? zawołał niby wesoło, ale drżąc ze wzruszenia.

Dziewczyna wstrząsnęła łagodnie głową. — Wyznaję, że byłam w uniesieniu i obraziłam pana nierozważnymi słowami. Masz pan słusność, wymagając przede wszystkim od siostry miłosierdzia łagodności i panowania nad sobą — dla tego też proszę o przebaczenie i zapomnienie.

Mówiąc to, wyciągnęła z nieśmiałością rękę.

— Wiele hałasu o nic! — zawołał wpół śmiejąc się, w pół gniewając. — Kto by tam tracił tyle słów z powodu takiej drobnostki, jak lekkie skaleczenie. Zresztą choć bym nawet pozwolił oprzeć rękę, to za godzinę pozrucam wszystko — jestem zbyt niecierpliwy.

— Bądź pan dobrym, proszę — przerwała mu, łagodnie prosząc.

Dźwięki te wywarły czarodziejski skutek. Henryk wzruszywszy ramionami, odwrócił w bok głowę, oparł lewą rękę na stole i mileżąc podał dziewczynie drugą — skaleczoną.

Chyba musiała się uczyć sztuki opatrywania rannych, bo wprawny, pewny siebie sposób przewiązywania był niewątpliwie czemś więcej, niż wrodzoną zręcznością kobiety.

Henryk z wolna zwrócił znowu twarz ku dziewczynie i z zajęciem przyglądał się jej robocie.

— Czy byłaś panna w zakonie Sióstr Miłosierdzia? — zapytał z nietajonym zadziwieniem.

— Tak jest, przez kilka tygodni, lecz nie z zamiarem wstąpienia do klasztoru. Chciałam tylko tyle się nauczyć, abym w razie potrzeby mogła przynieść pierwszą pomoc.

— Na wsi nieraz nie tak prędko można sprowadzić doktora — dodała, nie przerywając sobie zajęcia, po chwili jednak podniosła wilgotne ze wzruszenia oczy. — W każdym razie będziesz pan musiał posłać po lekarza do miasta — sierp był dość mocno wyszczerbiony.

Młodzieniec rozśmiał się.

— Zeszywaj panna obwiązanie — rzekł, dodając jej odwagi — lecz na moją silną naturę i zdrową krew.

Pochyliła głowę i zeszywała płótno szybko i zręcznie, lubo od czasu do czasu drobne jej, paluszki zadrżały... Dziwna tajemnica osłaniała jej osobę. Sposób jej mówienia, ruchy, cały układ i choć tajona przecież coraz bardziej zdradzająca się, rzeczywista nauka, przekonywały niewątpliwie, że posiadała wyższe wykształcenie — a prze-

cież pełniła obowiązki prostej, wiejskiej dziewczki. Jakżeż więc tamta... guwernantka, która musiała znać bogate zasoby tego umysłu, niemiłosiernie pozostawiała ją na poniżającym stanowisku... Co tej egoistce dawało tak wielką władzę nad losem tej szczególnej dziewczyny?

Henryk jak oczarowany patrzył na piękną głowę, pochyloną nad jego ręką, na te bujne, po prostu w tył zaczesane włosy. Na wąskim pasemku białej szyi, niezaskłoniętem przez chusteczkę, znajdowała się znowu czarna aksamitna wstążeczka, z nawpół rozluźnionym teraz węzłem. Czy nosiła na piersi jaką drogą pamiątkę, której nigdy nie zdejmowała? Zazdrosne wzruszenie serca popędziło młodzieńcowi krew do głowy; była chwila, krótka, szybko przemijająca chwila, w której pragnął zerwać jej ze szyi wstążeczkę wraz z tajemniczym przedmiotem. Dziewczyna nie domyślała się wcale zdradzieckich myśli, gdyż właśnie w tej samej chwili podniosła głowę i spojrzała na niego z pełną tkliwości dobrocią. Obandażowanie już było zupełne, więc ostrożnie wypuściwszy ze swych dłoni jego rękę, przystąpiła do stołu, aby zapakować przyniesione ze sobą bandaże.

— Dziękuję panu — odezwała się z głębokim westchnieniem, jak by pozbywszy się przykrego ciężaru. — Jutro przyjdę znowu dla obejrzenia rany.

Nie miał nic przeciwko temu, ale nie odpowiedział ani słówka. W duszy budziły mu się dziwaczne i zdradzieckie myśli. Na pozór ze stoicznym spokojem przypatrując się jej zajęciu marzył w szalony sposób. Och! gdyby jaka trąba powietrzna porwała tę małą altankę wraz z niemi i szybciej niż para przeniosłszy ich przez lądy i wody, złożyła w brandenburgskiej jego willi! Wtedy daleko od turyngskich lasów, od niepojętej władzy samolubnej guwernantki, oderwana od wszystkiego, co ją teraz otaczało, należała by jedynie do niego, który przecież tak gorąco ją kochał. Och, jaką otoczył by ją opieką, jak inne, całkiem odmienne dał by jej warunki życia! Tak tedy marzył, stojąc obok niej i oddychając rozkoszną wonią fiołków, ulubioną panny guwernantki, a która dobywała się także z prostych sukni ubogiej służki.

I dla czegoż sam nie odegrał roli owej trąby powietrznej, dla czego nagle jak burza, tkliwym jak jego uczucia objęciem, nie porwał ukochanej, nie pozyskał ją sobie tkliwymi słowami i gorącą pieśczętą! Dla czego nie miał wyznać jej swych uczuć? Nie wstrzymywało go nic oprócz niepojętej godności tej dziewczyny. Czy miał że narazić się na to, aby odpowiedziała mu krótko i sucho, że nie żyje sobie zostać jego ukochaniem, jego skarbem, żoną i towarzyszką życia? Wprawdzie odpowiedź taka zdawała się w ich wzajemnym położeniu niesłychaną i niemal nieprawdopodobną, ale że była by taką, o tem ani na chwilę nie wątpił, i pan Henryk Markus młodsz, który dawniej bardzo mało co robił sobie z panien wyższego towarzystwa, teraz strzegł się bardzo i nie śmiał odezwać się, aby jakim nieuczynem słowem nie wywołał ostrej odpowiedzi ze strony poważnej, surowej dziewczyny, odzianej w wiejski kabat.

Nieraz obecność Griebłowej nie była mu wcale przykłą, owszem bawiła go jej wielomówność, którą czasem nawet starał się podniecać — ale teraz jej znany ciężki chód, który w tej chwili dał się słyszeć na schodach, sprawił mu największą przykrość. Widział, że na ten odgłos i dziewczyna zapłonęła żywym rumieńcem; jednak zachowała zimną krew i na pozór przynajmniej spokojnie związywała paczkę, gdy gospodyni otworzyła drzwi.

I córeczka, Ludwisia, przyszła z matką. Na dużej tacy, którą obie niosły, zaledwie pomieściły się butelki sodowej wody, sok malinowy, cały przyrząd do kawy i arnika oraz różne jeszcze przedmioty, które pocziwa jejmość pobierała w pośpiechu.

— Aaa! — zawołała przeciągle, marszcząc brwi i jak skamieniała zatrzymując się na samym progu. Poczem poruszeniem szybszym niż zwykle, odwróciła się ku swej jedynaczce, i rozszerzając

się o ile mogła, nadymając jak biedna żaba z bajki, starała się zapelnąć sobą całą przestrzeń w drzwiach, aby młode, ciekawe oczy nie mogły nie zobaczyć.

— Wejdzże, wejdz kochana pani! — odezwał się Henryk. — Bardzo to dobrze mieć pod ręką arnikę i płatki starego płótna, jak u państwa posesorstwa na folwarku. Wypadek z moją ręką spotkał mnie tam właśnie, a ponieważ straszliwie lekka się wszelkich przewiązywań, więc też jak najspieszniej uciekłem, chociaż to nie mi nie pomogło, bo posłano aż tu za mną znajdującą się na opatrywaniu ran siostrę miłosierdzia i chcąc nie chcąc musiałem się poddać operacji. Lecz oto patrz pani, co się stało? Obandażowano mi ranę, obwiązanie zaszyto prawdziwie po doktorsku — prześlicznie...

— Tak... tak tedy jest już wszystko w porządku — rzekła Griebłowa i taca z brzękiem została postawioną na stole; teraz Ludwisia mogła wreszcie wejść do pokoju.

Spojrzenie, rzucone ukosem na obandażowaną rękę p. dziedzica, zatrzymało się przecież na niej z podziwem nieukrywającym.

— I to asanna zrobiłaś? zawołała Griebłowa i spojrzała bystro na dziewczynę. — A gdzie żeś to się nauczyła takiej sztuki?... gdzie? Nie uczą tego nawet panien w instytucie guwernantek, gdzie przecież moją Ludwisię uczyli wszystkich możebnych rzeczy. Nie prawda-ż, moje dziecko?

— Nie, mam, tego nie uczą w instytucie — odpowiedziała dziewczeczka dotąd mileżąca, lecz z największym podziwieniem przyglądająca się pięknej służącej posesora. — Ale jedna z mych koleżanek, która za kilka miesięcy ma jechać do Polski na guwernantkę, uczy się teraz u Sióstr Miłosierdzia sztuki opatrywania rannych.

— Tak? Teraz to już rozumiem. Nauczyłaś się aspanna tego od swej pani? — rzekła Griebłowa ostro do dziewczyny, która właśnie zawinęła paczkę i pochowała wszystkie przyrządy do koszyka. — To jest w istocie rzecz bardzo dobra i użyteczna przy takim wypadku, jaki spotkał naszego pana dziedzica. Panna Agnieszka posłała cię do dworu z rozkazem opatrzenia rany, gdyż naturalnie sama nie mogła przyjść aż tu, do kawalerskiego mieszkania. Porządna i uczciwa panna nie zrobiła by tego za nic w świecie, o! za nic...

— Co też kochana pani mówisz? — odezwał się Henryk niby z uśmiechem, lecz marszcząc brwi z niezadowolaniem. — Doprawdy, że gdybym nie wiedział, jak jesteś dobrą i zącą kobietą, mógł bym posądzić się o złe serce. Bo czyż wobec cierpień ludzkich godzi się zwracać uwagę na tak błahę względy? Pomoc lekarska, ktokolwiek bądź ją wykonywa, stoi nieporównanie wyżej po nad wszystkie, nieraz śmiesznie niedorzeczne względy przyzwoitości. Czyż by to było po chrześcijańsku, gdyby obok tych, którzy cierpią, którym ból dokucza i krew płynie, zaczęto najpierw naradzać się, czy ratowanie ich zgodzić się będzie z przyzwoitością, lub nie?

— Ależ u pana nie było nie takiego, nie było przynajmniej żadnego niebezpieczeństwa — odpowiedziała gospodyni spokojnie i bez najmniejszej urazy. — Mówiłeś pan bardzo pięknie, ale słowa pana wcale mnie nie przekonały. Dobra sława kobiety nie jest drobnostką, ani względy przyzwoitości niedorzeczniemi. Nawet nie powinno się tak mówić przy młodych dziewczynach, a szczególnie przy takich, które są śmiałe z natury, o śmiałe... dodała, wskazując z tyłu ręką na służącą posesora. — Nie piękna to rzecz, gdy się kobieta dostanie na języki, jak się to zdarza. Nie chcę powtarzać tych historii, o niech mnie pan Bóg zachowa od tego!...

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

W istocie byli to starszy żołnierz, weterani angielscy, sztywni i wyprostowani pod swemi czerwonymi mundurami.

Nastąpił teraz pewien przestanek w walce. W około głębokie milczenie. Wiatr ustał zupełnie, słońce wesoło świeciło, zdało się że cała przyroda słuchała i patrzyła, przejęta widokiem niespodziewanym.

Nagle ukazały się znów republikańskie mundury. Dwie kompanie piechoty, zajmując całą szerokość drogi posuwały się naprzód krokiem przyspieszonym.

Na widok barw francuzkich, świecących blach na piersiach żołnierzy, a nadewszystko dzielnej ich postawy — serce wicehrabiego, uderzyło przyspieszonym tętnem.

Choć byś porzucił ziemię, na której się urodziłeś, choć byś nawet miał jej złorzeczyć, im więcej się oddalasz, im pewniejszy jesteś, żeś już zabił jej pamięć, tem ona silniej żyje, tem potężniej budzi się w duszy wygnańca miłość synowska: namiętna, gorąca miłość i Tankred de Gaillefontaine nie był w tej chwili rojalistą, tylko Francuzem.

— O Boże! — szepnął ze łzami w oczach. — To dzieci mego kraju, to moi rodacy! Niech żyje Francya!

Na obu skrzydłach kolumny nacierającej, trzecia kompania rozwinęła się w tyralierkę.

Fitz-Gerald był żołnierzem; podziwiał więc również wojskową postawę, śmiałość, swobodę ruchów tej drobnej garstki mężnych.

Zbliżywszy się na odległość strzału, bez najmniejszego zachwiania się wytrzymali morderecy ogień zalogi.

— Naprzód! — zakomenderowali oficerowie. — Naprzód! Na bagnety!

Bębny uderzyły do ataku.

Grenadyerowie rzucili się, skacząc i drapiąc się na skały.

W niecałe pięć minut wdarli się na wzgórze, roztrącili zawalające drogę kamienie i uderzyli na Anglików.

Ci ostatni bronili się walecznie. Zaledwie kilku zbiegło. Wszyscy, którzy nie padli trupem, to jest przeszło pięćdziesięciu żołnierzy wraz z kilku oficerami i komendantem dostało się w ręce zwycięzców, którzy prawie natychmiast przy dźwiękach Marsylianki zajęli całe miasto i przedmieścia.

— Miasto wzięte! — odezwał się Gaillefontaine. — Zejdźmy na dół.

Znaleźli biskupa w przedsionku. Wiedział już o wyniku bitwy.

Jednak wcale nie zdawał się przygnębiony — owszem piękna twarz starca spokojna była i nie znać było na niej namiętności rozdrażnionych. Był on nie tylko kapłanem, lecz zarazem i filozofem.

— Z pochodzenia jesteś pan Szkotem — odezwał się do niego Fitz-Gerald — więc Irlandya jest twą drugą ojczyzną. Ci, którzy przybywają, nie są wcale wrogami, owszem, to nasi sprzymierzeńcy, nasi zbawcy!

— Nie wypowiadam mego własnego zdania w tym względzie — odparł kapłan z powagą — lecz czyż nie stoi napisane w księgach rodzaju: „Staraj się o dobro kraju, do którego cię przenio-

słem, prosz Boga o jego pomysłność, gdyż od jego zbawienia zależy i twoje własne.“

— Nasi rodacy są szlachetnymi jako zwycięzcy — wmieszał się wicehrabia — tem więcej że ludność Killali przyjmie ich z otwartymi rękoma. Oto słuchaj pan!

W oddaleniu rozległy się okrzyki pełne radości i zapału.

— Panowie — rzekł biskup, rodzinę moją oddaję pod waszą opiekę, a jeżeli rodacy panów obejdą się z nami tak łaskawie, jak zapewnacie — w takim razie niewątpliwie nie będą się żalić na gościnność doktora Stock.

Tymczasem wrzawa zbliżała się coraz bardziej. Otoczeni ogromnym tłumem, prawie oszalałym z radosnego uniesienia, grenadyerowie francuzcy ukazali się pod żelazną kratą.

Była ona zamknięta. Kilku uliczników wdrapawszy się na nią, przeskoczyło na drugą stronę i otwarli ją na rozcież.

Teraz kilkunastu oficerów wjechało na podwórze.

Był to sztab główny.

Na czele generał komenderujący.

Gaillefontaine odgadł, był to Humbert.

Na pierwsze spojrzenie poznał Tankreda, który wyszedł na jego spotkanie.

Rozstali się już blisko rok, a widzieli się tylko dwa razy, lecz wśród jednej z takich okoliczności, których się nigdy nie zapomina.

— Pan tu, wicehrabio! — zawołał bohater republikański. — O, do pioruna! To wydaje mi się prawdziwie szczęśliwą wróżbą. Podajmy sobie ręce, jak wówczas na świeżym jeszcze grobie Hoche... Otóż widzisz pan, jego ostatnie życzenie zaczyna się wypełniać.

Siedział jeszcze na koniu. Tankred zaś stał w przedsionku, tuż obok biskupa.

— Pozwól mi, generale — odezwał się wicehrabia — abym przedstawił ci zacnego kapłana, biskupa z Killali. Sądzę, że miałem prawo zapewnić go, że może być zupełnie spokojnym, oddając się pod opiekę francuzkiego honoru.

— Dobrześ pan zrobił, odparł Humbert. — Nie jesteśmy przecież barbarzyńcami, a dla tem większego bezpieczeństwa umieszcę sztab główny w pałacu biskupim.

Zsiadł z konia i po uprzejmem przywitaniu z gospodarzem, wszedł z innymi w głąb domu.

Gaillefontaine pół głosem zawiadomił go, że u biskupa znajdują się młode kobiety.

— Ach, ach, rozumiem! — rzekł z uśmiechem dowódzca. — Zachowamy się tak, aby ich nie przestraszyć. Nie zapomnimy o należnych kobietom względach. Ksiądz biskup ma zapewne także swych adjutantów, którzy porozumieją się z moimi co do kwaterunku. Spostrzegam na podwórzu oddzielne budynki, tam umieści się sztab i pikietą gwardyi. Co do mnie poprzestane na jednym pokoju. Zresztą przybyliśmy tu na bardzo krótki czas. Są to po prostu przyjacielskie odwiedziny, po których zaraz wyruszymy w drogę.

Po tych słowach wydał podkomendnym kilka rozkazów, przekonywających o szybkości w powzięciu postanowienia i trafnym rzucie oka.

Biskup zachwycony tak łagodnym zachowaniem się, wyszedł wraz z oficerami.

Inni rozłożyli na stole szczegółową mapę Irlandyi, oraz kilka książeczek drukowanych, lub pisanych i otrzymawszy jeszcze ostatnie rozkazy generała, oddalili się z kolei.

Edward i Tankred pozostali z nim sami.

— Siadajcie panowie — rzekł oficer — i zechciejcie obznajmić mnie z obecnem położeniem kraju, w którym mam prowadzić wojnę.

Gaillefontaine wziął na siebie to zadanie. Podczas gdy opisywał treściwie znane już nam wypadki, Humbert przyglądał się Edwardowi, jak gdyby starając się przypomnieć sobie rysy jego twarzy. I rzeczywiście przed pierwszą wyprawą, zakończoną tak nieszczęśliwie w przystani Bantry, spotkali się ze sobą w Brest.

Tu nie było potrzeby zachowywania tajemnicy

i Tankred odkrył Humbertowi prawdę, kto przybrał sobie nazwisko margrabiego de Grandlieu.

— Lubo jedno tylko ramie moje jest zdrowem — rzekł Fitz-Gerald — przecież, generale, oddaję się pod twe rozkazy.

— Dobrze, margrabio, albo raczej obywatelu Grandlieu — odpowiedział Humbert — przyrzekam zachowanie tajemnicy. Pozostańcie oba panowie przy mnie, na każdym kroku potrzebować będą objaśnień o kraju. Lecz wiadomości panów są bardzo złe. Więc nie czekano na nasze przybycie? Południowe prowincje powstały i powstanie już stłumione zupełnie?

— Tak niestety, stłumione i zalane strumieniami krwi — odparł Gaillefontaine. — Pomoc nadeszła za późno!..

— Och, to nic nie znaczy — zawołał Edward — jeżeli armia francuzka jest dość liczna..

— Armial — rzekł z uśmiechem Humbert. — Lecz ja jestem tylko generałem brygady... a brygada moja nie jest nawet w komplecie.

Obaj słuchający spoglądali z zadziwieniem, nie rozumiejąc go ieszcze.

— Otóż patrzcie panowie — rzekł biorąc ze stołu listę spisana na arkuszu papieru — tu jest wyszczególniony rzeczywisty stan wojsk, z któremi wsiadłem na okręta w Roszelli.

I rozłożył przed oczyma młodzieńców autentyczny dokument:

Korpus przeznaczony do Irlandyi.

Drugi batalion 7-ej pół brygady piechoty liniowej	ludzi 843.
Jedna kompania grenadyerów	51.
Oddział 3-o półku szaserów konnych	43.
Oddział 11-ej kompanii kanonierów ochotników	42.
Generał brygady, wódz naczelny wyprawy	1.
Adjutantów generała	2.
Oficerów sztabu	39.
Doktorów	4.
Ogół	ludzi 1025.

Gaillefontaine i Fitz - Gerald stali zdumieni, powtarzając mimowoli ostatnią cyfrę.

— Ale tak, tak! — rzekł generał, ani na chwilę nie tracąc niepojętej pewności, którą dotąd okazywał. — Tak jest, ogółem tysiąc dwadzieścia pięć ludzi.

Ale obaj jego słuchacze pozostali w osłupieniu, niezdolni pojąć tej zdumiewającej, bezprzykładnej zarozumiałości dyrektoryatu. Jak to, z takimi siłami chcieli napaść na Anglię i przemocą odebrać jej Irlandyę?

— A artylerya? — zapytał Tankred.

— Mamy trzy działa — odpowiedział Humbert. — Lecz i inne jeszcze korpusy mają wypłynąć z Cherbourga i Lorient. Wylądują one na innym punkcie brzegów, prawdopodobnie trochę więcej na południe, w zatoce Clown, lub Galway.

I posuwając palcem, wskazywał na mapie załameki brzegów Irlandyi.

— Nie licząc floty Republiki bawarskiej, która może już nawet przybyła.

Dowiedziawszy się, że ta ostatnia wyprawa została do szczytu zniszczoną na morzu, dzielny generał wcale nie okazał zakłopotania. Owszem zawołał z silnym przekonaniem:

— W każdym razie pozostaje nam jeszcze sama Irlandya. Dobrze pamiętam słowa Hoche'a: „Cały lud nieszczęśliwy podniesie się na nasz widok!“ Zdanie to podzielają również irlandzcy wychodźcy, którzy powrócili z nami z Francyi.

Fitz-Gerald zapytał z żywością o ich nazwiska. Z pomiędzy nich jeden tylko O' Nial mógł go poznać. Na szczęście pozostał on w mieście ze swymi towarzyszami, aby czuwać nad rozmieszczeniem francuzkich żołnierzy i służyć im za tłumaczów. Lord Edward uznał za rzecz najważniejszą uprzedzić spotkanie, aby osoba jego nie została poznana i tajemnica rozgłoszona.

— Idź pan! — rzekł wódz wyprawy.

Wódz-Duch Arkusz 19.

Ale zatrzymał Tankreda, który podniósł się, chcąc wyjść także.

— Skorzystajmy ze sposobności rozmowy w cztery oczy — odezwał się do niego Humbert, gdy pozostali sami. — Na widok ciebie, panie wicehrabio, przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Jaka?

— Ach, nie tak to łatwo powiedzieć, choć wykonanie nie przedstawia żadnej trudności, teraz gdy pan należysz do wyprawy.

— To jest prawie należę.

— Jak to, czyż byś pan miał zamiar opuścić nas?

— O nie, lecz głównie przywiązuję się do osoby lorda Fitz-Geralda.

— Ale przy tej sposobności, mógł byś wicehrabio usłużyć zarazem i generałowi Humbert.

— Nie rozumiem, zechciej mi pan wytłumaczyć.

— Dobrze, ale wtedy dopiero, gdy usiądziesz pan znowu. Och mamy ze sobą dużo, bardzo dużo do pomówienia.

— Tak?

— I nadzwyczaj tajemniczo. Idzie o oddanie mi wielkiej przysługi.

— W takim razie — rzekł Tankred siadając — pozostaję z ochotą.

XXXIX.

Pierwszy etap.

Przez chwilę generał Humbert targał z niecierpliwością wasy. Widocznie gotował się do przykrego dla siebie wyznania.

— No, idźmy prosto do celu! — zaczął wrzeszcze, decydując się nagle. — Nie będzie to dla pana żadną nowością, że jestem prostym żołnierzem, któremu poszczęściło się w zawodzie wojskowym. Moja matka umarła, gdy zaledwie nauczyłem się chodzić, ojca zaś już nie miałem poprzednio. Rozpocząłem karierę jako kominiarczyk, potem utrzymywałem niższego rzędu garkuchnię. Niechętni i zazdrośni dotąd nazywają mnie handlarzem króliczych skórek i w istocie jest to prawda, sprzedawałem je. Potem...

— Żaden uczciwy zawód nie przynosi nam ujmę — przerwał mu wicehrabia. — Owszem dla tego kto zaszedł tak wysoko, tem zaszczytniejszą jest rzeczą im niższemu było miejsce, z którego wyszedł.

— Zgodził — rzekł Humbert — lecz pod warunkiem, że pnąc się w górę należy się kształcić, pracować nad sobą, aby się stać godnym zajmowanego stanowiska. Otóż Hoche naprzykład, był takim, ale ja pozostałem nieukiem. Tak, tak, panie wicehrabio, umiem tylko tyle, że zaledwie potrafię podpisać swe nazwisko.

Jakkolwiek wyznanie to kosztowało dużo Humberta, lecz otwarta, uczciwa, a wesoła jego natura przemogła ostatecznie i z uśmiechem ścisnął rękę Tankreda. — Piękny wódz naczelny!... — rzekł. — Ale cóż robić już to jest ze mnie nieuk i czy wiesz wicehrabio, co mi się raz zdarzyło? Przypadkiem ktoś mi powiedział, że imiona własne piszą się przez dużą literę, wyobraziłem więc sobie, że cały podpis należy tak wykaligrafować, na szczęście ta wspaniała myśl przyszła mi do głowy przy liście do Hoche, który podpisał: HUMBERT...

— O ambitny człowieku — rzekł mi nieboszczyk przy spotkaniu się — chcesz być wielkim nawet w podpisie. — I śmiał się ze mnie, a ja stałem przed nim, jak żak. Ale mało jest takich, którym pozwalam śmiać się moim kosztem. Czynień to jedynie wtedy, gdy Kocham.

— Panie wicehrabio, zaczął znów po chwili

z pewnem pomięszaniem — panie wicehrabio, czy nie domyślasz się do czego zmierzam?

Zatrzymał się niepewny, wahający się.

— Przyznaję, że nie domyśliłem się jeszcze — odparł Gaillefontaine szczerze.

— Oto, mówiąc krótko, potrzebuję sekretarza... poufnego, który by poprawiał moje błędy gramatyczne, ortograficzne i inne tym podobne. Było by mi przykro upokarzać się przed jednym z mych podkomendnych, szczególnie teraz, gdy jestem naczelnym wodzem. Tymczasem osoba neutralna... przyjaciel nie należący do armii... Ach, uśmiechasz się pan... więc zrozumiałeś? zgadzasz się?

— Z całego serca! — odpowiedział Gaillefontaine.

Olbrzym z żywością uchwycił obie jego ręce i uściśnął tak, że Tankred zaledwie nie krzyknął z bólu.

— Och, nie tak mocno, generale, inaczej połamięś palce, które mają pisać twe rozkazy i raporty.

W tej chwili przyniesiono depezę naczelnika eskadry i sekretarz natychmiast objął swe obowiązki.

Humbert był zachwycony.

— Nigdy nie mogłem odczytać tych gryzmołów i traciłem na to Bóg wie ile czasu! — zawołał, dyktując, albo raczej podając treść odpowiedzi.

Posłaniec, młody podporucznik marynarki, czekał w przyległym pokoju.

W drzwiach na pół uchylonych ukazała się głowa Pata. Przychodził, chcąc zapytać pana o rozkazy.

— Później — rzekł w tej samej chwili generał — trzeba będzie zredagować rozkazy dzienne, proklamacje, odezwy. Mam już jedną gotową i wydrukowaną, która na początek wystarczy: „Do Irlandczyków.“ Lecz przedewszystkiem trzeba by poszukać posłańca, obeznanego z miejscowością, zręcznego i odważnego człowieka, który by rozrzucał odezwę w okolicach całej drogi, którą się mamy udać.

— Jest taki człowiek! — zawołał Pat, wysuwając się od proga na środek pokoju. A gdy spostrzegł, że jego pan zdawał się wahać, poceiwy chłopak dodał: — O, niech pan znajdzie drugiego posłańca, mającego tak długie nogi jak ja, a że przytem rozum *nie* jest bardzo krótki...

Gaillefontaine uważał za obowiązek objaśnić go, że naraża się na niemałe niebezpieczeństwa, ale Pat nie dał skończyć. — Cóż mi zrobisz? rzekł. Może powiesz? — Nie był bym pierwszym w mojej rodzinie, którego powieszono... to panie nie liczy się do rzeczy.

— W każdym razie nie szczególna to śmierć, mój biedny czołope.

— Hillou! Wszystkie rodzaje śmierci prowadzą do Pana Boga, jeżeli człowiek nie był lotrem. Tylko zdrajcom i zbojom postronek przeszkadza wejść do Nieba.

Mówiąc to wyprostował się z dumą i niezłomnym postanowieniem.

— Zresztą — dodał wesoło — nie jestem tak głupi, abym się miał dać złapać.

— Dobrze więc! — odezwał się Humbert. — Przyjdź wieczór po proklamacje, a to masz na kosztą podróży.

— Hop, hop! — zawołał paddy chwytając w powietrzu sakiewkę, którą mu rzucił generał. — Za te pieniądze kupię sobie przebranie, w którym przysięgam, że mnie Wasza Cześć nie pozna.

— Zobaczmy. Do wieczora zatem!

Tak odprawiony Pat oddalił się, pełen radości z nowo pozyskanej godności.

Naczelny wódz i jego poufny sekretarz zabrali się do roboty, a tymczasem niezmordowana czynność panowała w mieście, dokąd żołnierze i marynarze z jak największym pośpiechem sprowadzali wojenny materiał wyprawy. Brakowało koni, lecz w niedługim czasie sprowadzono je

z okolicznych łąk. Ku wieczorowi przybyli artylerzyści wraz z trzema armatami. Przyjęto ich szalonymi, pełnymi zapału okrzykami.

Wszystcy współubiegali się, kto pierwszy odda usługę wybawcom Irlandyi. Powszechnie znana jest rzeczą jak szybko i z jak zadziwiającą łatwością francuzcy żołnierze umieją zaprzyjaźnić się z całkiem nieznanym sobie ludem. Zdawało się, że znajdują się we własnym domu. Tak łatwe wyładowanie i zaraz po niem odniesione pierwsze zwycięstwo wprowadziły ich w wyborne usposobienie. Nie krzywiąc się, pito wszystko, co było pod ręką: whisky, toddy, usquebaugh, i inne siarczyście ostre napoje. — Saprelotte! — odzywali się jedynie delikatniejsi — to może podziurawić kiszki! Niech ich pioruny trzaska z ich wódką!

Dodajmy do tego, że znajdowano się w najpiękniejszej porze roku i podczas przeslicznej pogody. W nocy na wszystkich placach rozpalano ogromne ogniska, jak w wilią S-o Jana. Biwakowano, śmiano się, śpiewano ohoce piosenki. Pomiedzy tymi ludźmi nie było ani jednego, któryby nie miał pieniędzy w kieszeni i serdecznej ochoty do rozrywki, a Irlandczycy mimo to, że z bosymi nogami, uśmiechali się rokosznie, pokazując białe zęby. Urządzano tańce, bratano się, ścisniano.

— Niech żyje Irlandya! Niech żyje Francya! brzmiały echa górskie.

Tankred przechadzał się w pośród tych tłumów ożywionych i malowniczych. Podczas zdobycia miasta czuł się wzruszonym, zapalonym, teraz bawił się. Kilka słów wymówionych w pewien odrębny sposób przypominało mu starą rodzinną prowincję. Wszystkie departamenta Francyi miały w tym szczytym korpusie swych przedstawicieli, poczynając od Flamandczyka z twardą wesołą i ożywioną, aż do zuchwałego Gaskończyka, od czarnookiego i ognistego Provensala do jasnowłosego Alzateczyka, łagodnego i spokojnego zwykle. Najwyższy z całej brygady grenadyer, naturalnie że po naczelnym wodzu, był właśnie Alzateczyk, nie mający jeszcze lat dwudziestu. Był zbudowany jak atleta i zdawało się, że mógł by łamać podkowy jak król Polski: August II. Tankred patrzył na niego z zajęciem, a chłopak ten był wesołym i dobrym kolegą; gdzie tylko było co cięższego do zrobienia, wołano natychmiast Fritza, a Fritz szedł zawsze z ochotą na zawołanie.

Tankred słuchał jak w powietrzu krzyżowały się mile mu imiona wieśniacze: Mikołaj, Barnabas, Piotr, a jeżeli takie nazwy: jak Rameau d'or, Francoer, La Tulipe; przypominały mu dawne czasy i dworskich w rodzinnym zamku, nowa moda reprezentowaną była przez: Scewolę Koriolana, Spartacusa, bo znajdowali się tu i Paryżanie, ruchliwi jak żywe srebro i hałaśliwi jak wróble. Wicehrabia spotkał w pośród nich wyborną w swoim rodzaju próbkę stołecznego eleganta, sierżanta z zuchwałą miną, z kapeluszem na bakier, z wielką galanterią prowadzącego pod rękę ładną szwaczkę z Killala.

Na widok tej pary, Gaillefontaine nie mógł się powstrzymać od półgłosem wymówionej uwagi:

— Do licha! Przysięgł bym, że jestem aux Porcherons!

— Albo w Paphos! — odpowiedział sierżant.

Poczem skłoniwszy się po wojskowemu, odezwał się do wicehrabiego:

— Przebac, obywatelu, jedno pytanie, mające dla mnie wielką wagę. Pragnął bym wiedzieć czy znasz język tych biednych ofiar zdrazieckiego Albionu?

— Tak, trochę — odparł Gaillefontaine.

(Dalszy ciąg nastąpi)